

ANTONINA DOMAŃSKA

---

# Trzaska i Zbroja

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ANTONINA DOMAŃSKA

# *Trzaska i Zbroja*

## I. JACENTOWA

Z ulicy Floriańskiej ku kościołowi Panny Marii szedł niemłody wieśniak z tobołkiem na plecach. Kozuch miał wyszarzany, czapkę wytartą, twarz zmizerowaną, ale siwe oczy, osadzone głęboko i jakby przyczajone pod krzaczastymi brwiami, spoglądały przenikliwie, a lekko wysunięta naprzód dolna szczęka nadawała tej twarzy wyraz silnej woli czy uporu.

Spojrzał w Rynek. Mało jeszcze było ludzi. Jakkolwiek dzień targowy zgromadzał dwa razy w tygodniu tłumy przekupniów i kupujących,

dziś jakoś jeszcze się nie zeszli. Może dla<sup>1</sup> nie-  
pogody, bo zimny, gęsty deszczyk prószył od  
wczesnego rana.

Chłop zrobił kilka kroków ku Sukienni-  
com, pomruczał coś sam do siebie, machnął  
ręką i zawrócił do kościoła.

Jak to było powszechnie przyjęte w śred-  
nich wiekach, nie tylko w Polsce, ale w całej  
Europie, że cmentarze otaczały kościoły para-  
fialne, tak też i plac dokoła Panny Marii zasiany  
był gęsto kamiennymi i drewnianymi krzyża-  
mi.

We drzwiach od strony północnej siedzia-  
ła staruszka grubymi chustami poowijana i od-  
mawiała różaniec, chuchając kiedy niekiedy w skost-  
niałe palce.

— Niech będzie pochwalony... Jak się ma-  
cie, Jacentowa? — rzekł wieśniak.

— Na wieki amen. Jak groch przy drodze  
— odpowiedziała babka. — Włóczę jeszcze te  
nogi po bożym świecie, ale każdy dzień mocy  
ujmuje, a ciężkości na kark przyrzuca. Człek się

---

<sup>1</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

chyli, chyli ku tej świętej ziemi, aż i przyjdzie ona ostatnia godzina, co się trza będzie pięknusko w grobie położyć na wieczne odpoczywanie.

— Jużci, wedle<sup>2</sup> zadusznych dni zawdy<sup>3</sup> smutek serce ogarnia, ale gdyby tak słoneczko się ukazało miasto<sup>4</sup> tych burych szmacisków na niebie, gdyby to maj się poczynał, a nie listopad, tobyście ta jeszcze podskoknęli co nieco, prawda?

— Dworuj<sup>5</sup> se, Wojtek, dworuj, nijakiego poszanowania dla starszej siostry nie masz.

— Olaboga! Starszej! Dy<sup>6</sup> i mnie się już obróciło na czterdziesty ósmy.

— Mądre słowo, na zdrowie ci. Swoje lata umiesz policzyć, a zem ja już z nieboszczykiem Jacentym z Krakowa na Łobzów na twoje chrzciny chodziła, to ci za mało?

---

<sup>2</sup>wedle (daw.) — koło. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zawdy (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>dworować (daw.) — żartować, kpić. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>dy a. dyć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

— E, gdzie byśmy się ta o byle co przemawiali! Nie latami człek się starzeje, ino<sup>7</sup> biedą a turbacją<sup>8</sup>. Ja bym was zaprowadził do mojej chałupy z dziurawą strzechą, co deszczówka jak bez<sup>9</sup> przetak<sup>10</sup> dzieciom prosto do łóżka leci. Ja bym wam kazał słuchać, jak te siedem Chrobaków jeść wołają abo ze zimna zębami klekocą. Ja bym wam...

— A cóżem to ja starościna czy żona rajce krakowskiego? Na złotej lamie spać legam, paśne kury zajadam, a miodownikiem<sup>11</sup> pogryzam? W biedziem się ulęgła, jako i ty, na biedowanie z domu poszła i biedą cały wiek się karmię. Ino w twojej rozwalonej chałupie zdrowie mieszka, twojej żony ani twoich siedmi dziecek śmierć się nie ima, a u mnie co? Pięciorom ich miała jako palców u ręki, wszystkie Pan Jezus pozabierał, święta Jego wola. Ty masz kobietę uczciwą, pracowitą, posłuszną; ona ma ciebie dobrego, trzeźwego chłopa, a ja kogo?

---

<sup>7</sup>ino (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>turbacja (z łac.) — zmartwienie. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>bez (gw.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>przetak — sito z dużymi otworami. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>miodownik — rodzaj ciasta. [przypis edytorski]

Ten poczerniały krzyżyk pod cmentarnym płótem, co nań czternaście roków od rana do nocy pozieram, w kościelnych drzwiach siedzący. Ani się równaj ze mną, mizerną babką proszalną<sup>12</sup> spod Panny Maryje!

— Darujcie, sioostro miła — pokornie odezwał się chłop — nie domawiajcie<sup>13</sup> mi tyła. Mniemałem, że sobie pogadamy, pocieszymy się i ozweselimy oboje, a tu, jak na przekór, wszelakie gorzkości ze serca na język wypłynęły. Ot, lepiej powiadajcie, co słychać w mieście. Trzy tygodnie na targu nie byłem, bo z próżnymi rękoma i z pustą kaletą<sup>14</sup> po co szedł będąc na Rynek?

— A dziś? — spytała babka, spoglądając na tobolek.

— Ano, masła osełczyne, sera dwie plaskanki i kopkę<sup>15</sup> jaj, co moja uskładała od czterech młódek.

---

<sup>12</sup>*babka proszalna* — żebraczka. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*domawiać* (daw.) — przygadywać. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*kaleta* — noszony przy pasie skórzany woreczek na pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*kopa* — 60 sztuk. [przypis edytorski]

— I ty, człecze, o biedzie prawisz?! — roześmiała się Jacentowa, trzęsąc głową. — Krowa, kury, pańskie gospodarstwo!

— Teraz ja wam rzekę, co se dworujecie ze mnie, ino że ja waszej mowy do serca nie przybieram — odparł Wojciech spokojnie. — Krówkę się kupiło za sprzedane bursztyny, jeszcze po Margosinej matce. Bydlątko każdemu miłe, a zimne paciorki jeść nie dadzą. I tę morgę<sup>16</sup> jałowizny<sup>17</sup> też choć raz w kielo czas<sup>18</sup> godzi się omaścić. A skąd nawozu, skoro w szopie pustki? Człek sam z dzieciskami głodem przymiera, byle srokata miała żarcia do woli. Masło, ser się sprzeda, a maślankę i serwatkę za przysmaki w niedzielę zjemy. Chleba swego nie ma, to w mieście u krowodrzzanek trza kupić. Mąkę na zacierkę, krup jednych i drugich, na wszystko trzeba grosza. A soli? Jałową kaszę każdy zje, ino bez soli ani rusz. Ale ja tu o sobie wciąż rozpowiadam, a wy nic.

---

<sup>16</sup>*morga* — dawna miara powierzchni gruntu. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*jałowizna* — tu: nieurodzajna ziemia. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*raz w kielo czas* (gw.) — raz co jakiś czas. [przypis edytorski]

— Cóż gadać? Izdebkę na prałatówce w podwórku mam, jako ci wiadomo, do śmierci podarowaną, a dziesięć czeskich co miesiąc mi przynosi pacholek pana burmistrzowy. To i starczy na łyżkę ciepłej strawy.

— Jacenty nieboszczyk, jako był chłop uczciwy i sprawiedliwy przez całe życie, tak wam jeszcze nawet swoją śmiercią dopomógł. Boga by w sercu nie mieli sławetni rajcowie<sup>19</sup>, gdyby się wami nie zaopiekowali.

— Wolej<sup>20</sup> bym onego za opiekuna miała. Niechby żył. Tobie się może zda, że na starość człek pamięć traci? Oj, oj, wiatr zdmuchuje ino listeczki z kwiatów, kolce zawdy zostają. Wesołe się zapomina. Co bolało, zawdy boli. Ile to ja razy przez dzień widzę mego Jacusia z roztrzaskaną głową, na marach! Ile razy śnił mi się cały krwią zalany!

— Ale z tej żalości waszej macie i pociechę stokrotną, że w służbie Najświętszej Bożej Matki śmierć go spotkała. Spadł ci z dachu, ale

---

<sup>19</sup>rajca — członek rady miejskiej. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>wolej (daw.) — lepiej. [przypis edytorski]



z kościelnego. Już mu tam w niebie nie pozwalali godnego miejsca — to pewna. A i na was za to Opatrzność boska pilnie pogląda, co-  
byście nędzy nie cierpieli.

— Słusznie gadasz, Wojtuś. Za wszystko trzeba dziękować Panu Jezusowi. Ale, com to jeszcze chciała rzec... Aha. Jest nas tu trzy babki do zamiatania kościoła i uprzątania pajęczyn. Każda ma dwa dni służby, a w świętą niedzielę wypoczynek. Niby to lekka robota, a przecie w moich leciech<sup>21</sup> umęczenie wielkie. Jak się naschylam, nazginam, spod ławek, z kątów i zakamarków śmiecie powymiatam, to mi się zda, że mi het cosi gnaty połamało. W nocy, to się ani z boku na bok przewrócić nie zdolę<sup>22</sup>.

— Proście księdza proboszcza, coby was zwolnił.

— Nigdy w świecie! Zagryzłyby mnie one jędze na śmierć, że za mnie muszą robić. Zagryzłyby! Nie zębami, bo ino po dwa abo po trzy w gębie mają, ale słowami ostrymi jak te

---

<sup>21</sup>*w moich leciech* (daw.) — w moim wieku. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*zdolę* — dziś popr.: zdołam. [przypis edytorski]

noże. Toli<sup>23</sup> mi zazdrozczą onego dożywocia po Jacusiu niby kroci jakich.

— Więc jakoż myślicie?

— Tak se kalkuluję, żeby wziąć jaką dziewczyninę-sierotę, co by pod moim okiem robotę sprawiała.

— Czyż nadążycie dwie was wyżywić, kiedy na jedną z ledwością starczy?

— Pan Jezus miłosierny. Widzisz, Wojtek, ono tak źle znowu nie jest. Jacentowa spod Panny Maryje to nie pierwsza lepsza. Jaki taki do kościoła idzie, szelązek człeku na podolek<sup>24</sup> rzuci. A już jak jego miłość rajca Langpeter przechodzi abo Teszner, abo Przedbór, abo Salomon, to tyła ofiarują, że więcej wyniesie niż z ratusza za pół miesiąca. Znasz pana stolnika Mikołaja?

— Jakże! A kto by Wierzynka nie znał!

— No, to ci rzekę, co jego miłość nigdy mnie bez datku nie minie. A chodzi co dzień

---

<sup>23</sup>toli (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>podolek — wgłębienie spódnicy u siedzącej kobiety. [przypis edytorski]

do nas tu na wotywę<sup>25</sup>. Tedy łącno<sup>26</sup> zmiarkujesz<sup>27</sup>, że i dla siebie, i dla kogo drugiego na kluski starczy, nawet ze szperką<sup>28</sup>. Łachów mam dość na swoje zapotrzebowanie, a dziewczę by się kupiło w kramach raz to, raz owo. Dy stoją Sukiennice, niczym kościół na nowo zmurowany, z woli najmiłościwszego króla.

Wojciech zamrugnął powiekami i podrapał się w głowę.

— O, moja złocista Jacentowo!

— No cóż?

— Nie śmiem...

— Głodnyś?

— Ij... Bajki głód! Cale<sup>29</sup> co inszego.

— Gadajże!

— Wzięlibyście se naszą Baśkę do posługi.

— Cóż ci się troi? Najstarsza dziewczucha w domu, to prawa ręka! Jakoż ją matce odbierzesz?

---

<sup>25</sup>wotywa — msza poranna. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>łącno (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>zmiarkować (daw.) — zorientować się. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>szperka — słonina. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>cale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

— Prawdę mówicie. Ani słowa. Ino właśnie dlatego że najstarsza, musi iść precz z chałupy.

— Rety! Zbroiła co przeciw rodzicielom?

— Niechże Bóg broni, zachowa! Nigdy w świecie!

— Ano, to matka jej nie puści. Ani mowy. Wojciech się zaśmiał cicho.

— U nas w chałupie ino jedno rządzi, czyli ja. Drugie zasię słucha, czyli Margosia. Właśnie tak jak Pan Bóg Przenajświętszy rozkazał.

— Ale wiem, wiem — niechętnie odrzuciła staruszka. — Od dzieckaś taki zawzięty. Zawdy ino wszystko po twojej woli musiało być. Sparty<sup>30</sup> jak kozioł.

— Ale za to pół wieka z biedą za bary się wodzę i przecie nas jeszcze nie zadławiła do cna.

— Tedy powiedz, dlaczego chcesz Basię wygonić?

— Długo by o tym gadać...

— Ano, to rzeknij krótko.

— Pamiętacie Zbrojów?

---

<sup>30</sup>*sparty* — dziś: *uparty*. [przypis edytorski]

— Co bym nie miała pamiętać. Z ojców, praojców nasze sąsiady.

— Tak. Jest i z ojców, praojców niezgoda między nami. Jakiś widno mocny bies upodobał sobie te dwa rody, bo z byle czego do nienawiści podwodzi. O patyk, o garść siana, o głupią gruszkę. Wieczne swary między Zbrojami a Trzaskami. Sprawiedliwość im oddać trzeba, zawdy<sup>31</sup> umieli się rządzić, oszczędzać, skąpić, byle ino majątności przysparzać, to i nagromadzili bogactwa pełne skrzynie, a niemal ćwiartka gruntów łobzowskich w ich ręku. My zaś, Trzaski, ano<sup>32</sup> wedle swego miana żyjemy. Dużo onych Trzasków od wiek wieka bywało, a co pokolenie, to gorsza bieda. Ot, i w dzisiejszych czasach powiedzmy: Paweł Zbroja, bogacz nad bogacze, ma ino syna jedynaka i dwie dziewczuszki. U mnie ani w niedzielę nie jada się do syta, a jest nas wszystkich razem dziewięcioro w chałupie. Zaś o tej godzinie może ta jeszcze przybyło jedno więcej.

---

<sup>31</sup>*zawdy* (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*ano* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Abo co?

— Ano... Dy już takie zaprowadzenie u Trzasków, że co rok, to prorok.

— Widzisz, Wojtek, powiem ci prawdę. Strasznieś chłop nierozgarniony. Baśki się chcesz wyzbyć właśnie teraz, kiej<sup>33</sup> matka niedomaga?

— Dajcież mi się wygadać dokumentnie! Po cóżem o Zbrojach zaczął? Widno cały kłopot na nich się opiera.

— Bardzom też ciekawa, co mi powiesz.

— Odkąd Paweł Zbrojaostał wójtem łobzowskim, dmie<sup>34</sup> ci tak, co nie wiadomo, jak mu się kłaniać: czy jak miłościwemu królowi Kazimierzowi, czy może jeszcze krzyneńżej.

— Cóż to ma do Baśki?

— O, jakaście to nagła! Zaraz się dowiecie! Tedy<sup>35</sup>, jako spominałem, jedynaka se uchował jak malowanie. Parobek rosły, na gębie czerwony niczym jabłuszko, a do wszelakiej roboty zgrabny, jak by się od urodzenia wszystkiego uczył. Najstarszy komornik z łobzowskiego

---

<sup>33</sup>kiej (gw.) — kiedy. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>dąć się — tu: puszyć się, pysznić. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

dworca wziął go za stajennego do królewskich koni.

— A co mnie do królewskich koni?

— Słusznie, wam nic. Ale zarówno Stasz-  
kowi Zbroi nic do naszej Baśki, a czego lata za  
dziewczyną?

— O, rany!

— Dziękować Panu Jezusowi, zrozumieli-  
ście przecie, co za przyczyna, że chcę dziewczuchę  
wyprawić z domu.

— Poczekajże, a cóż Basia na to?

— Basia? Po rozżarzonych węglach lecia-  
łaby za nim, ino by palcem kiwnął.

— To po cóż dzieciska rozrywać, kiej się  
ku sobie mają! — zawołała Jacentowa, splatając  
ręce. — Dać na zapowiedzi, pożenić i kwita.

— Aha, stary Zbroja pierwej ubije chło-  
paka, niżeli u Trzasków synowej będzie szukał.  
On by się i wojewodzianki nie zląkł. A mnie  
i moją babę nienawidzi aż strach. Ino mię uj-  
rzy w polu czy na podwórku, pomstuje tak,

że uszy wędną. Baśkę wyzywa od dziadówek, przed ludźmi nas czerni<sup>36</sup>, niemal plwa na nas.

— Ha, wola boska, a tyś ojciec. Czyń, jako rozumiesz. Kiedyż mi dziewczynę przyprowadzisz?

— Właśnie dziś, zaraz, coby nie miała sposobności powiadomić Staszka. Pewnikiem już jest na targu. Miała przyjechać z Wątorkową. Zginie dziewczucha jak kamień w wodę. Niech wójt swaty posyła, gdzie wola. Z moim uczciwym dzieckiem napraszał się nie będę. Ino niech ciotka strzeże Basi jak oka w głowie, żeby się ptasznik<sup>37</sup> o turkawce<sup>38</sup> nie zwiedział.

— A to co za rwetesy? Coś się dzieje na targu? Zobacz no, Wojtek, czego ludzie tak krzyczą?

— Baśka?! Skądeś się tu wzięła? I taka zdyszana? Wilki cię gonią po mieście czy co?

— Szukałam was, tatusiu... Idźcie, na miły Bóg, ratować Wątorka, bo go baba na śmierć

---

<sup>36</sup>czernić — dziś popr.: oczerniać. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>ptasznik — myśliwy polujący na ptaki. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>turkawka — ptak podobny do gołębia, przen.: młoda dziewczyna. [przypis edytorski]



zatłucze... O, tam... Widzicie? Pod świętym Wojciechem.

— Pilnujcie tobołka, Jacentowa, zaraz wracam. A ty stój wedle<sup>39</sup> ciotki. Ani mi się rusz!

Skoczył Wojciech co żywo na pomoc kumotrowi. Ledwo się przepchał przez tłum gawiedzi śmiejącej się z zaperzonej<sup>40</sup> niewiasty i biego chłopca.

— A ty opoju! A ty śleporodzie zatracony! Gdzie moja kokoszka?! Oddaj zaraz, bo ci łeb ukreczę, jakem twoja ślubna, wierna i uczciwa żona! Oddaj kokoszkę! Gadam po dobroci!

I ściskając bat w garści, wyrznęła go z całej siły grubym końcem biczyska po plecach.

— O, rety! Ja... Jaguś... dy zelżyj kapkę! — jęczał mąż, ani próbując odwetu.

— Gdzie czarna kokoszka z białym czubem?! O, moi ludzie, moi ludzie! — zawodziła baba piskliwie. — Taką ci miałam kokosią na cały świat sławną. Jak zniosła jajko w sam święty Jan, to bez dwa miesiące ino jeden dzień

---

<sup>39</sup>wedle (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>zaperzony (daw.) — rozgniewany. [przypis edytorski]

spoczęła. Ady rodzone dziecko tak matce nie świadczy, jako mnie ona podchlebiała! Ano przedwczoraj znowu się nieść zaczęła, a ta niewiara przeklęta wywlokła mi ją z domu dziś rano! Zdrajco! Judasie! Bo cię uśmiercę, niech cię już moje oczy nie oglądają!

— Mojaś ty śliczna...

— Nie ślicznam! Kokoszka gdzie?!

Zamierzyła się z większym jeszcze rozmachem, aż tu dwie silne ręce szarpnęły ją w tył, omal nie upadła. Obejrzała się.

— No, puszczajcie mnie, Wojciechu, bo i wam się oberwie!

— Cicho. Cicho. Dajcie spokój. Nie wstyd wam? Ludzie patrzą, śmieją się. Jużeście tego biedaka zanadto ukarali.

— Niech powie, gdzie ją skrył przede mną?

— O, Jaguś!... Ja... ja... jakoż ci oddam, klejem sprzedał...

— Komu?

— Wim ja?

— A pieniądze gdzie?

— U... u... u Mośka... Rety! Trzymajcie ją! Wojciechu, bo duszę ze mnie wyżenie<sup>41</sup>!

## 2. SĄSIEDZI

Tak więc Basia została u ciotki Jacentowej w Krakowie, a Trzaska wracał na Łobzów z lżejszym sercem.

Było wprawdzie płaczu i lamentu co nie-miara, ale przez myśl nawet nie przeszło dziewczynie buntować się przeciw woli ojcowskiej.

— Ani mi się waź pokazywać w domu, póki cię sam nie zawołam — rzekł jej na odchodnym. — Kiecki, gorset i buty przyniosę ci w przyszły wtorek.

Objęła tatusia za kolana, ciotkę pocałowała w rękę, spłakała się jak bóbr i została.

Przypuszczenia Wojciecha spełniły się co do joty. Za powrotem do chałupy znalazł w niej gościa oczekiwanego — malusieńką dziewczynkę. Westchnął, pokiwał głową, ale ucałował dzieciątko.

---

<sup>41</sup>wyżenąć (daw.) — wygnać. [przypis edytorski]

— Ano, moja Margoś poczciwa — rzekł serdecznie do żony — dziękuję ci też, dziękuję z całej duszy, jako za pierwsze, tak samo i za ósme. Niech Pan Jezus w zdrowiu chowa, a o nas, biedakach, nie zapomina. Ale, ale, powiem ci coś ważnego. Baśkę oddałem do służby w Krakowie.

— Cóż ty bajesz, Wojtek? Czy ci zmysły pomieszało? Kara boska czy co? Musisz w te pędy lecieć do miasta i zabrać dziewczynę z powrotem!

W jednej chwili dobroduszny uśmiech znikł z twarzy Wojciecha, dolna warga wysunęła się naprzód.

— Pierwej słuchaj, a potem gadaj, a najlepiej wcale nie gadaj — rzekł twardo. — Uczyliem jak trzeba i dość. Baśka zostanie w Krakowie póki moja wola.

Przycichła i schowała się z głową pod pierzynę.

— Jużci, teraz się zacznij płakać. Nie sprzeciwiaj się nigdy, to nigdy krzyczał nie będę.

Usiadł na brzegu łóżka i opowiedział jej wszystko szczegółowo.

— No, sprawiedliwie zrobiłeś, jak dobry ojciec — odrzekła wysłuchawszy. — Ino pytam się, co teraz będzie, kiedy ja ani ręką, ani nogą?

— Dy z Kasi już nie najgorsza wysługa, niech się przyucza. Co byśmy się trapiли po próżnicy!

— Ano jużci. Zresztą, wolę se ręce urobić, od świtu do nocy harować, byle się te wyklinańia raz skończyły.

— Ino teraz leż cicho, spoczywaj. My se ta będziemy jako radzić bez ciebie. Matka w domu najpierwsza. Co by się stało z tymi kruszynami, gdyby ciebie zabrakło!

— Ale, właśnie! — zaśmiała się kobieta. — Zdrowam jak ten rzemień. Nie zbędziesz się mnie ani za trzydzieści lat!

— Niechże cię Pan Jezus wysłucha! Wi-  
dzi On, jako cię srodze miłuję. Teraz wyjdę na chwilę. Mam ważną sprawę. Jeżeli mi się powiedzie, będzie dla nas wszystkich uciecha.

Zamknął drzwi od sieni i od podwórka, żeby nie wiało na dzidziusia i na chorą żonę, postął na progu niepewny, wreszcie przeżegnał się, nasunął czapkę na lewe ucho i pomaszerował brnąc w gęstym jak ciasto, listopadowym błocie prosto... do chaty Zbrojów.

Dwa płoty i wąska polna droga dzieliły obejście sąsiadów. Trzasko wie mieszkali na zboczu małego pagórka, domostwo Zbroi przytykało niemal do pięknego sadu otaczającego królewski dworzec w Łobzowie.

Wojciech wszedł do sieni. Rozejrzał się. Drzwi do świetlicy były zawarte<sup>42</sup>, w izbie mieszkalnej uwijała się przy kominie Zbroina.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki — odpowiedziała gospodyni, nie odwracając się. — A czego to?

— Z waszym chciałbym pogadać.

Spojrzała.

— A to ci gość rzadki i nie lada jaki! — zawołała śmiejąc się drwiąco. — Prędzejem się śmierci spodziewała niż was, miły sąsiedze, tu,

---

<sup>42</sup>*zawarty* (daw.) — zamknięty. [przypis edytorski]

na moim progu, zobaczyć. Do Pawła chcecie? A siedzi se w świetlicy przy miodzie. Idźcie, pewnikiem rad wam będzie.

Nie zrażony przykrym tonem tych niby grzecznych słówek, wszedł Wojciech śmiało do wielkiej izby gościnnej i tak samo boskim słowem powitał gospodarza.

Zbroja aż się zachnęła<sup>43</sup> z podziwu. Co? Ten człowiek, którego jak śmiecie lekceważył, ten chłop cichy, ustępliwy, nienatrętny ośmiela się nachodzić go we własnym domu? Zerwał się z ławy i stanął wyprostowany, ogromny, z zacisniętymi ustami.

— Niech będzie pochwalony — powtórzył Trzaska, patrząc mu spokojnie w oczy.

— Na wieki — odburknął niewyraźnie i na powrót usiadł na ławie, już ani patrząc na gościa.

— Nie źlijcie się na mnie, sąsiedzie — zaczął przybyły drżącym trochę głosem — przychodzę do was z dobrą nowiną.

---

<sup>43</sup>zachnąć się — zasygnalizować oburzenie lub sprzeciw. [przypis edytorski]

— Wy do mnie? — Zbroja ruszył ramionami. — Najlepsza nowina będzie, jak mi z oczu zleziecie, choćby na wieki amen.

— To już Panu Jezusowi ostawmy, którego z nas i kiedy ma zabrać z tego świata — odparł Trzaska, siląc się na spokój. — Ino to wam przyszedłem powiedzieć, że nie musicie się już troskać o swego Staszka względem naszej Baśki, bo nie chcąc cudzego dziecka przeciw ojcom buntować, a swoje w cenie mając jak złoto, wyprawilem dziewczuchę z domu i już jej wasz syn, póki żyw, nie увидzi.

Zbroja spojrział na mówiącego bystro, ale natychmiast spuścił oczy i milczał.

— A iżem jest chrześcijanin i nie darmo co dzień przy pacierzu powtarzam: „jako i my odpuszczamy”, więc przychodzę robić zgodę z wami, sąsiedzie, coby już nijakiej zawziętości nie było między nami.

Przeczekał chwilkę w nadziei, że przecież jakąś życzliwą odpowiedź usłyszy, westchnął i ciągnął dalej:



— Tedy, jakom rzekł, szczerym sercem was zapytuję, czy z wolą waszą zakończyć swary i niezgodę? Tyloletnią obrazę boską?

Zbroja wychylił kubek duszkiem i splunął na bok.

— Anim ja z wami w zgodzie, ani w niezgodzie — rzekł krzywiąc usta wzgardliwie. — Wszystko mi jedno, czy żyjecie, czy zgnijecie. Zbroja się z dziadami nie zadaje.

— Nie zadaje się? A jednakowo nie ma dnia, żebyście nas nie krzywdzili, nie poniewierali przed ludźmi, ostatnimi słowami nie poniewierali! — zawołał Trzaska, tracąc cierpliwość.

— Ha, kiedy wam tak o dobre słowo chodzi — roześmiał się Zbroja — to dziękuję wam pięknie, żeście swoją dziewczuchę uprzątneśli memu synowi sprzed nosa. Choć i bez tego byłoby się obeszło. Od dziecka Stach nauczony równo przed się patrzeć, a nie w błoto. Może by się ta był i zabawił, ale żeniaczka mu nie na myśli.

— Milczcie, na Boga świętego, bo mnie krew zaleje! — krzyknął Trzaska z oburzenia.

— Przyszedłem do was z przebaczeniem w sercu, obie ręce wyciągałem do zgody, ofiarowałem Panu Jezusowi tę gorzkość, com się jej nałykał od was tyle lat. Chciałem pieczęć świętą przyłożyć na naszych swarach i w kumy<sup>44</sup> was pro...

— Cha! cha! cha! cha! Cichoścież, bo i mnie krew zaleje, ino ze śmiechu! — wrzasnął Zbroja, trzymając się za boki. — Słyszeliście, ludzie, wójta mu się zachciewa. Zbroja u Trzaski za kumotra! Cha! cha! cha! Ady<sup>45</sup> se nie żałujcie, na Wawel nie tak daleko, zawołajcie se miłościwego króla! Ręczę, że wam nie odmówi! Ot, chamska dusza dopiero! Precz z mego domu, bo psami wyszczuję!

— Na wasze psy mam buczerkę sękaty! — odkrzyknął ostro Trzaska. — Niech ino który spróbuje mnie tknąć! A na wasze słowa umiałbym odpowiedzieć jeszcze lepiej, ino mi się nie podoba. Wolej Panu Jezusowi pomstę ostawię.

---

<sup>44</sup>w kumy — na ojca chrzestnego. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>ady (gw.) — ale, przecież. [przypis edytorski]

Rzucił drzwiami, aż ściany zadrżały, i wyszedł, a za nim aż na drogę leciał śmiech szyderczy Zbroi.

Ściemniało się na dworze. Gęsty deszcz, co padał od rana, zamienił się w drobny, kolący śnieżek i siekł po twarzy, aż bolało. Wojciech nie czuł wiatru, nie widział śniegu. Krwawe płaty latały mu przed oczyma. Nie sposób wejść teraz do izby. Margosia od razu wyczyta wzburzenie w jego twarzy. Po co ją trapić, kiedy się to na nic nie zda.

— Pójdę na strych, pozastłaniam jako dziury deskami i słomą, żeby nie przeciekało. Nijak się nie mogę przepomóc na świeżą strzechę. Oj, Boże, Boże miłosierny!

Z godzinę latał dziury w dachu, zatykając je, czym mógł, od wnętrza, jak to niemal przy każdym deszczu musiał robić, bo te słabe zapory psuły się i odpadały po paru dniach. Jakoś tym razem nadspodziewanie dobrze mu poszło i trochę weselszy zeszedł na dół do swoich.

Nowo narodzone dzieciątko spało cichutko, pozawijane w ciepłe szmaty. Kasia krzątała się przy piecu i gotowała pęczak na wieczór. Z dala od ognia stał garnuszek z ciepłym mlekiem dla matysi. Młodsze dzieci bawiły się z psem w kącie, ale spokojnie, żeby nowej siostrzyczki nie budzić.

— Gdzieżeś to siedział tak długo, ojciec?  
— spytała żona.

Zawahał się. A nuż w złość wpadnie i wszystkie obelgi Zbroi powtórzy? Biedna Margosia już dziś płakała przez niego. Jeszcze broń Boże zasłabnie. Odchrząknął i odpowiedział wymijająco:

— Wstępowałem na chwilę do wójta, coby się o swego chłopaka nie trapił, jako Basi już w domu nie ma.

— No? A co on na to? — spytała ciekawie.

— Rad<sup>46</sup> był, a jakże. Nawet mi podziękował.

— No, to chwala Panu Jezusowi. Może nas już nie będzie tyła dręczył jak zawdy.

---

<sup>46</sup>rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

— Byłem i na strychu dziury pozastłaniać.

— Dobrześ zrobił. Zaraz pewno będzie i wiesz. Co to takiego? Co tak zbyrka<sup>47</sup>?

— Aha, wali się ktoś do sieni. Wyjrzyj no, Pietrek.

Chłopiec wybiegł z izby i powrócił natychmiast, wyprzedzając gościa.

W mroku wieczornym, którego słaby ogień na kominie prawie nie rozjaśniał, ujrzeli przy drzwiach wysokiego mężczyznę w ciemnej oponczy, z kijem w ręku. Zdjął czapkę, pochwalił Pana Jezusa. Odpowiedzieli mu wszyscy: „na wieki”.

— Gospodarzu czy gospodyni, bo jakoś nikogo w tym ciemku nie widzę — rzekł obcy — pozwólcie mi spocząć i obeschnąć trochę przy waszym kominie, bom przemókł do nitki.

— Kasiu, przysuń ławę do ognia, a duchem<sup>48</sup>! — zawołał Wojciech. — Zaświeć kaganek!

---

<sup>47</sup>*zbyrkać* (gw.) — dzwonić, hałasować. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*duchem* (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

— Nie trzeba kaganka, nie trzeba. Nie róbcie sobie ze mną tyle zachodu — przerwał podróżny. — Posiedzę chwilę i pójdę dalej. Pilno mi do Krakowa.

— Aha, to do miasta idziecie? — spytał Trzaska.

— Jużci, do pana krakowskiego<sup>49</sup> mam sprawę. Śnieg mię w polu złapał, przeziąbłem srodze...

— Oj, nie wiem ja, zali próżno nie idziecie. Gadali dziś ludzie w Krakowie, jako właśnie król miał jechać na roki<sup>50</sup> do Biecza, a pan krakowski, ma się rozumieć, także.

— Taaak? A, to źle. Ha, darmo. Poczekam w mieście, aż wróci. Pierwszy raz mi tędy droga wypadła, mówiono mi, że ta wieś to królewszczyzna<sup>51</sup>...

— A jakże, od wiek wieka.

— Dobrze króla mieć panem we wsi, prawda? — rzekł podróżny żartobliwie. — Człęk

---

<sup>49</sup>*pan krakowski* — kasztelan krakowski. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*roki* (daw.) — termin posiedzenia sądu. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*królewszczyzna* (daw.) — dobra ziemskie należące do króla. [przypis edytorski]

jakby u Boga za piecem: czy cię chorość trapi, czy bieda gniecie, czy jakowej inszej pomocy trzeba, ino do dworu jak w dym. Bo i służba pańska, zarządce, dworzanie, wszystko zacne ludzie być muszą, czy tak?

— Utrafiliście w samo sedno — ze śmiechem odparł Trzaska. — Rzekliście: „być muszą” i tak też jest. Gdyby nie musieli, hej, hej, siódmą skórę by ściągnęli z biednego chłopca.

— Co powiadacie?

— Prawdę gadam. Niejeden komornik albo łowczy, albo krajczy, to i Żyda zdoli ocyganić, a jakże. Kaletę nabija, o swoje dobro dba, nie o pańskie.

— Nie do wiary!

— Ino że król jego miłość często na Łobzów zjeżdża, to cała nasza pociecha, a na ich brykanie hamulec. Wiedzą, że król najbiedniejszemu przystępny, że ze skargą do niego wolno przyjść o każdej dobie, to jedno im ręce wiąże i rogów przyciera.

— A we dworze kto siedzi?

— Oho, chyba z dalekości wędrujecie, gospodarzu, kiedy o takie rzeczy pytacie.

— Więcej niż dziesięć mil.

— Kto siedzi we dworze? Wstyd w nim siedzi. Ulubienica miłościwego pana — jękając się odpowiedział Wojciech.

— A co to komu wadzi? Przecie królowi też się jakowaś rozrywka należy — zauważył ze śmiechem podróżny.

— Grzeszne wasze słowa — surowo odpowiedział Trzaska. — Poczciwemu człeku nie przystoi<sup>52</sup> tak mówić. Kto ino cześć ma dla miłościwego pana — a Bogu najwyższemu wiadomo, że w całym królestwie wszyscy go nad własny żywot miłujemy — tedy kto ino serce ma uczciwe, co dzień się gorąco modli, by nasz król ukochany rzucił precz od się tę bezecnicę.

— Ej, chyba nie każdy taki zawzięty na tę biedaczkę? Jakże jej to?

— Rokiczana zwie się, diabelska pokuśnica. Z Czech ją biesi przynieśli.

---

<sup>52</sup>*nie przystoi* (daw.) — nie wypada. [przypis edytorski]



— Czy taka zła, niemiłosierna, czy krzywdzi kogo?

— Dobra ci nie jest ani miłosierna — gorzko odrzekł Wojciech — ale my ta jej dobroci nie łąknący. Niechby se wróciła, skąd przyszła. Tyle od niej łaski wyglądamy.

— Aleście też surowym sędzią, gospodarzu. Ani koronowanej głowie nie przepuścicie!

— A czy ja to ze siebie gadam? Każdy ksiądz wam to samo powtórzy, a i boskie przykazania pisane nie ino dla chłopów, lecz dla cesarzów i królów tak samo. Po Bogu wszechmogącym miłościwy król Kazimierz jest mi pierwszy. Mądrością Salomonową słynie; sprawiedliwość jego i panu możnemu, i nędznemu żebrakowi jako słońce przyświeca; rządzi królestwem niczym ojciec najlepszy; czego tknie, wszystko mu się darzy; ino ta plama, ta jedna plama! Kiedy go już Pan Jezus pokarał takim słabym sercem ku białogłowom, niechby se kazał szukać po wszystkim świecie najpiękniejszej królewny, niechby ją pojął za prawą żonę! Choć

niedawno owdowiał, mniejszy byłby grzech niżli to, co się przeciw bożemu prawu dzieje.

— Dziwy, dziwy... Miłowanie wasze takie srogie, jakoż inaczej nienawiść gadać będzie? — pytał podróżny. — Takli to odwdzięczacie dobremu panu, co go senatory „królem chłopów” przezwały?

— O, moiściewy! Toli właśnie dlatego rade by serce moje, coby nad cały ród ludzki był wywyższony, bez żadnej skazy!

Podróżny milczał zamyślony i grzał ręce nad ogniem.

— Chory ktoś u was widzę — zagadnął po chwili, wpatrując się w kąt przy ścianie.

— Córeczkę nam Pan Jezus zesał dziś rano. Leżą se obie z matką niebogi; jedna śpi, druga słucha naszej pogwarki.

— Chrzciny, po starym zwyczajuj, niebawem?

— A jużci. Dziś wtorek. Radzi byśmy w niedzielę, cóż, kiedy o kumotrów ciężko. Siedmioro pociech mamy, a ta dziewczuszka ósma,

to się i przebrało ludziom cierpliwości, a człek nie śmie się naprzykrzać.

— Gdybyście nie wzgardzili nieznanym biedakiem, to ja rad<sup>53</sup> stanę do tej chrześcijańskiej posługi.

— Bóg wam zapłać stokrotnie. I owszem, przyjmujemy wdzięcznie. My ta niepyszni, nawet dziadem nie gardzimy, byle Boga miał w sercu. Siostrę ano mam babką przy kościele Panny Maryi. Mąż jej spadł z rusztowania, gdy kładziono dach na kościele. Burmistrz i sławetni rajcy przeznaczili jej izdebkę i kilka groszy na utrzymanie aż do śmierci.

— A gdzie wasza parafia?

— Właśnie tam, u Panny Maryi.

— Ano, to w niedzielę przed południem stawię się przed waszym domem. A o kumę się nie trapie, sam się postaram o jaką uczciwą niewiastę. Pójdę już, bom wypoczął, a muszę zająć przed nocą, nim bramy pozamykają.

— I nic to nie przekąsicie? Zaraz będziem wieczerzać.

---

<sup>53</sup>rad (daw.) — chętnie. [przypis edytorski]

— Bóg zapłać, na chrzcinach sobie powetuję.

— Choć mleka łyknijcie kropelkę...

— Chyba na zdrowie chrześnicy. Niech się wam chowa na pociechę!

Wypił smacznie, mlasnął językiem i wąsy otarł rękawem.

— Ostańcie z Bogiem!

— Szczęśliwa droga.

### 3. ROKICZANA

Ojciec! Ojciec! Matusiu, nie wiecie, gdzie oni poszli?

Zbroina położyła palec na ustach.

— Cichoście, Staszek. Przecie widzisz, że dziecko śpi.

— Ojoj, straszne cuda, to niech się zbudzi.

— Wynoś mi się z izby, ty zuchwalcu jeden! Dziewuszátko caluśkie jak w ogniu, nikogo nie poznaje, a ten będzie brewerie wyprawiał!

— Chora? Jagnesia? O, rety! Czegóż od razu nie gadacie?

— Ady<sup>54</sup> się dopraszam, cobyś był cicho, i nie słuchasz.

— Nie swarzcie, nie gniewajcie się — przytłumiając głos do szeptu, rzekł chłopak. — Z prędkości takem krzyknął, nie ze złego serca. Cóż się dziecku stało?

— Abo ja wiem? Rano jeszcze była rzetelna, dopiero ku południowi osowiała, skryła się za piec i tak ją chorość do krzty rozebrała, że ino krzyczy, cosi plecie nie do rzeczy, aż mi głowa pęka od strachu, nie widzącej nijakiej rady. Przed chwileczką zdrzemnęło się biedactwo. Pozatulałam, pookrywałam, niech się zapoci, może jej zelży. A nie, to trza będzie posłać po Grajdoskę, żeby urok odczyniła.

— Słusznie, sam po babę polecę. Ino teraz rzeknijcie mi, gdzie ojciec?

— W stodole parobków pilnuje, bo młóca. A wiadomo, Szczepan lubi spocząć, Jasiak bije cepem od niechcienia, jak dla zabawki, to ich

---

<sup>54</sup>ady (gw.) — ale, przecież. [przypis edytorski]

pięścią po karku trza wyciąć raz, drugi, inaczej ani rusz.

— Obiadowaliście?

— Jeszcze nie. Właśnie na miskę miałam wlewać, jakeś wszedł.

— Pobiegnę po nich.

— Nie trzeba. Ojciec ino ze mną a z dziećmi pospołu jada. Służbie się daje osobno.

— Dawniej tak nie bywało.

— Dawniej co inszego, a dziś co inszego. Paweł Zbroja, wójt, nie może się bratać z najemnymi parobkami.

— Tak bym się was o coś rad zapytał...

— No, to gadaj.

— Kiedy nie śmiem...

— Odkądżeś tak ponieśmielał? Ojca się bój, nie mnie. Dy<sup>55</sup> wiesz, co znaczy u matki jedy-nak.

Pocałował ją w rękę.

— Matusiu, jak myślicie, co z nami będzie?

— Jak to z nami?

— No, z nami, ze mną i z Baską.

---

<sup>55</sup>dy a. dyc (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

— Ohoho, ani z tej beczki nie zaczynaj! Dobrze ty wiesz, że z tego nic.

— Skąd mam wiedzieć? Krzywicie się, to i przestaniecie. Dziewucha jak malina, robotna, zdrowa. Jak se dwie pełne konewki na nosidłach zawiesi, to ci leci śpiewający, aż radość patrzeć. Zawdy<sup>56</sup> wesoła, ojców słucha... Jak Boga wszechmogącego miłuję, czego wy chcecie od niej?

— A nic nie chcemy, cale<sup>57</sup> nic. I ty se Baśkę ze łba wybij, rozumiesz?

— Oj, matusiu złocista!... Nie i nie!

— Cóż to, mam cię pouczać, rozpowiadać, jak ojciec tego całego dziadowskiego rodu nie nawidzi? Dy co dzień się możesz nasłuchać, jak se ta przez płoty oba z Trzaską wymyślają. Ino czekam, rychło się pobiją. Ile to lat się ciągnie! Jeszcze stary Trzaska-nieboszczyk pomsty boskiej przyzywał na twego dziadka, a nie miał o co.

---

<sup>56</sup>*zawdy* (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*cale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

— Ano, jak nie było o co, to skończyć swary, podać se ręce i spokój.

— Aha, przychodził tu Wojciech we wtorek z takim samym słowem, zuchwalec.

— No, i co się stało?

— Cóż się miało stać? Wyrzucił go ojciec za drzwi i tyle. O Baśce musisz zapomnieć. Dobrze ci radzę.

— Zapomnijcież jeść, spać, oddychać! Zapomnijcie, że słońce na niebie świeci, to ija Baški zapomnę!

— Eee, pies szczeka, a wiatr niesie. Głupie twoje gadanie. Dziecko trzyletnie zrozumie, że nie po to Zbroja ma pełne worki „bitych<sup>58</sup>”, nie po to całym Łobzowem trzęsie, nie po to musi aż w polu sterty stawiać, bo mu się w stodołę zboże nie mieści, aby dla swego jedynaka w chlewie żony szukał.

— Żebyście mi nie matką byli, to bym was ubił za takie gadanie! — krzyknął Staszek, chwytając się za głowę. — Jak wy się Boga nie boicie tak poniewierać uczciwymi ludźmi!

---

<sup>58</sup>*bite* — pieniądze. [przypis edytorski]



— A ty, smyku jeden, do kogo to gadasz? Matkę rozumu uczyć będziesz?! Ino mi żal Jagnesi biednej, coby się nie zlekła, bobym cię sprąła na kwaśne jabłko. Widzicie go! Taki, co pod zgnitą strzechą siedzi, a na nos onemu i dzieciom woda z dachu kapie, to nie w chlewie mieszka? A spytaj się, czy dwa razy na rok maszczone jadają? A porachuj łaty na Wojciechowym kozuchu! A zajrzyj, co tam w komorze! Otrąb garść i żarnówki<sup>59</sup> kwarta! A to krowiątko, pożał się Boże, sama skóra i kości.

— Dajcie już spokój. Wolej nie słuchać otakiej biedzie. Zanadto serce boli.

Wybiegł z izby i nie namyślając się poleciał prosto do Trzasków. Właśnie skończyli nędzny obiad. Kasia garnki zmywała.

— Niech będzie pochwalony...

Może po raz pierwszy w życiu Wojciech zapomniał odpowiedzieć na powitanie po bożemu. Rozjątrzona rana zanadto bolała. Wstał z ławy i krzyknął ostro:

---

<sup>59</sup>żarnówka — mąka zmielona na żarnach. [przypis edytorski]

— Po coś tu wlaź?! Nicsię nie zgubił! Czego szukasz?!

— Ja... ja ino... chciałem...

— Chciałeś kijem oberwać?! Wynoś mi się w te pędy! Idź do swego tatusia, co psy spuszcza na ludzi!

Staszek rzucił się przed nim na kolana.

— O, Jezu, Matko Boska! Nie karajcież mnie za to, czego ani moje oczy nie widziały! Przybiegłem do was jak do ojców, pokłonić się, w nogi pocałować i jak ojców prosić, cobyście mieli cierpliwość, wyrozumienie... Ja wszystko przeinaczę, tatusia i matkę ubłagam, na kolanach za nimi włóczył się będę, aż mi zezwolą waszą Basię pojąć... Na rany boskie was zaklinam!

— Nawet nie próbuj! Choćbyście oba z ojcem klękali przede mną jak przed cudownym obrazem, choćbyście ziemię przed moimi nogami całowali, takem się zawziął, takem się zaklął, tak mi się serce w kamień obróciło, że nigdy, przenigdy mego dziecka wam nie dam! Słuchaj i zapamiętaj: przenigdy!

— A co my biedne dzieci zawiniły? Przecie Basia mnie tak samo nad swój żywot miłuje, jako i ja Basię. I na nas się mścicie? Śmiertelny grzech!

— Jak wleziesz na kazalnicę, to będziesz o grzechach uczył, teraz precz! Jeszcze jedno słowo, a i u mnie pies oto przy kominie czeka. Idź!

— O, rety, rety! O, ja nieszczęśliwy!

Ledwie przekroczył drogę, ledwie za sobą wrota zamknął, znalazł się oko w oko z ojcem idącym ze stodoły.

— A ciebie gdzie czorty nosiły, niewstydniku jeden?! — wrzasnął Zbroja. — Myślisz, com nie widział, hę? Nauczę ja ciebie posłuchu, zbereźniku zuchwały! — I pięścią zaciśniętą a twardą jak kamień jął<sup>60</sup> walić chłopca po plecach.

Staszek pochylił głowę i znosił karę spokojnie.

— Masz dość? Będziesz słuchał?

---

<sup>60</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

— Jakoż nie mam słuchać, kiedy mnie i stamtąd na wieki amen wygnali.

— Jużci, hakami by cię przyciągali, gdyby nie strach przede mną. No, chodź, ukarałem jak ojciec, to i gniew mnie ominął. Zjemy se razem obiad.

Weszli do izby, gospodarz schylił się nad kołyską, pokiwał głową.

— Śpi. Dobry znak. Nic jej nie będzie. — I zabrał się do jedzenia.

— Tatusiu — rzekł Staszek, całując go w łokieć.

— Czego chcesz?

— Jak pojecie, to się ogarnijcie przystojnie i czym prędzej do dworu.

— Do dworu? Do kogo?

— Do jej miłości pani Rokiczany.

— Ja do niej? Ani kroku się nie ruszę. Jeszcze czego brakowało!

— Nie znacie jej. Strasznie jest sparta i porywcza. Skoro nie usłuchacie po dobroci. gotowa ludzi posłać i gwałtem was przed nią po-

wiodą. Nie trzeba jej drażnić, bo wam co jeszcze na despekt<sup>61</sup> uczyni, a w dodatku przed królem naskarzy.

— Idź, Paweł, idź — wtrąciła się żona — mądrze chłopak radzi. Zresztą, kto wie, może cię co dobrego spotka?

— Ani od pana miłościwego nic mi nie potrzebno, a nie dopiero od takiej — hardo burknął Zbroja. — Ale iść mogę, ze samej ciekawości. Przynieś z komory nową sukmanę i buty, choć Bogiem a prawdą, co ona za jedna, żebym się miał stroić?

— Jakże? Wójt, w starym kozuchu i w postołach<sup>62</sup>?

— Słusznie, dla siebie to czynię, nie dla niej.

Zapiął szeroki pas, gwoździkami nabijany, na granatowym kaftanie, przywdział po wierzchu białą sukmanę. Czapkę barankową nasadził z fantazją na głowę.

---

<sup>61</sup>*despekt* (daw.) — obraza. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*postol* — chłopskie obuwie. [przypis edytorski]

— Ano, idźmy — rzekł do syna. — Niechże się dowiem, czego chce ladaco od uczciwego człeka.

Przeszli sadem, krótszą ścieżką.

— Tędy, tędy, przez ganek, po schodkach. Teraz na prawo, to jej izba. Ja nie wejść, za wysokie progi na moje nogi. Zresztą, matusia kazali po Grajdoskę lecieć.

Zbroja otworzył drzwi i wszedł śmiało. Od przyjazdu Rokiczany do Krakowa, raczej od zamieszkania jej w Łobzowie, ani razu nie zaglądał do dworu, mniemając, że obrazą było dla czci poważnego kmiecia przestąpić próg niewstydnicy, choćby nawet była królewską kochanką. I syna nierad puścił tam do służby. Ledwie mu przeperswadowano, że stajnie daleko za ogrodem, jej miłość nigdy w tamtą stronę nie chodzi, może i rok minąć, a Staszek jej nawet nie zobaczy. Kto zaś dostanie się do służby królewskiej, tego los i powodzenie do śmierci zapewnione.

Komnata była wielka, trzema oknami oświetlona, z powałą<sup>63</sup> o pięknie rzeźbionych belkach. Białe umytą podłogę pokrywały jaskrawe kilimy<sup>64</sup>. Pod jednym z okien był stolik, zasłany makatą złotem przerabianą, przy nim dębowy zydel<sup>65</sup> z wysokim oparciem. Na stole kobiałeczka<sup>66</sup> z różnokolorową wełną i kawał płótna z rozpoczętym wyszywaniem. Na gwoździu wbitym w futrynę wisiała lutnia<sup>67</sup> przewiązana pasową wstęgą.

Po przeciwnej stronie komnaty długa ława przy ścianie, przed nią stół podłużny, zarzucony stosem grubszych i delikatnych robót kobiecych. Na boku dwie przęślice<sup>68</sup> z kądzielami<sup>69</sup> omotanymi lnianym przędziwem, mały warsztacik tkacki. Słowem, pracownia dziewcząt służebnych jej miłości.

---

<sup>63</sup>*powala* — drewniany strop. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*kilim* — dwustronny dywan do dekoracji podłóg i ścian. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*zydel* (daw.) — stołek. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*kobiałka* — koszyk. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*lutnia* — dawny instrument strunowy. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*przęślica* — drążek do zamocowania kądzieli. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*kądziel* — włókno przygotowane do przędzenia. [przypis edytorski]

W tej chwili nie było na ławie nikogo, tylko przy małym stoliku siedziała młoda niewiasta z burym kotkiem na ręku. Bawiła się, rzucając mu pod sam pyszczek związany sznurkiem kłębuszek i umykając z nagłą, gdy go chciał pazurkami dosięgnąć.

Zbroja stał przy drzwiach i patrzył.

Nawet zawzięty nieprzyjaciel musiał przyznać, że równie cudnej urody nie spotykało się dwa razy w życiu. Jasne jak żytnia słoma włosy, w jeden warkocz splecione, opadały z poręczy zydła aż do ziemi. Nad czołem wiły się krótkie nieposłuszne kędziorki, a wierzch głowy zdobiła okrągła, czerwona, aksamitna czapeczka perłami haftowana. Wąska biała wstążka, przyszyta do czapeczki z lewej strony, okalała ciasno śliczną twarzyczkę i kończyła się na prawej skroni przepinką szmaragdową. Szata z cienkiego sukna, niebieska, wycięta nieco dookoła szyi i na tym wycięciu złotą nicią w ząbki dziergana, gładko przylegała do smukłej kibi-<sup>70</sup>ci, bez śladu zapięcia, które znajdowało się po

---

<sup>70</sup>kibić (daw.) — talia. [przypis edytorski]



prawym boku, zręcznie ukryte pod lamówką z ciemnego futra. Tymże futrem zakończona była suknia od dołu.

Rokiczana spostrzegła wchodzącego kmiecia, ale czekała, aż się jej pokłoni, i udając, że go nie widzi, dalej bawiła się z kotkiem. Zbroja stał butnie z ręką za pas zatkniętą i nie odzywał się.

— Weszliście jak do gospody. Ani mnie nie powitacie — rzekła tonem urazy Rokiczana.

— Jakoż mam witać? Umiem ino boskim słowem, a... — urwał i dodał po chwili: — Wołaliście mnie, przyszedłem.

— Bóg zapłać za łaskawość pana wójta — odpowiedziała niewiasta z drwiącym uśmiechem. — Proszę, proszę, postąpcie bliżej, nie lubię mówić na dalekość.

— O co chodzi waszej miłości? Ciekaw słucham.

— O co? O wasze dobro, a moją wygodę. Jeśli postąpicie według mojej woli, nie pożałujecie.

— Ja ta zwyczajny ino wedle własnej woli żyć — odpowiedział Zbroja — i do tej pory jeszcze tego nie żałował.

— Tedy słuchajcie. Lubię się przechadzać po sadzie, gdy jasna pogoda, i poglądać w stronę Krakowa. Tak mi tu nudno, tak posepnie, zwłaszcza zimą, niech przynajmniej wieżyce i mury miasta widzę. A tu wasza chałupa... Wybaczcie, zmyliłam się, wasz dworzec tak mi się rozpostarł przed samym nosem, że chyba drabinę przystawić ina drzewo musiałabym wylażyć, żeby coś niecoś widzieć.

— Cóż ja temu krzyw<sup>71</sup>? — roześmiał się wójt. — Każdemu wiadomo, że ten... dom stał pradiad mego rodzica i ani wonczas miłościwym królom, ani też dziś naszemu panu nic moja chałupa nie wadzi.

— Ale mnie wadzi — odparła twardo Rokiczana — i dlatego chcę ją od was odkupić, coby se uczynić wolny widok na Kraków. Ile zażądacie, tyle zapłacę.

---

<sup>71</sup>krzyw (daw.) — niechętny. [przypis edytorski]

— Nic nie zażądam i nic mi wasza miłość nie zapłaci. Gniazda swego umiłowanego nie mam na sprzedaj<sup>72</sup>.

— Zawołajcie sąsiadów, kogo ino zechcecie. Jaką cenę za ten dworek naznaczą, dwakroć tyle bez mrugnięcia okiem na stół wyliczę.

— Ani dwakroć, ani trzykroć ani dziesięćkroć! Powtarzam nie i nigdy! — krzyknął Zbroja, uderzając się dłonią w piersi. — W tym domu praojce żyły i umierały, tum się urodził ja i moje dzieci, tu chcę żyć i umierać! Ani nawet nie gadajcie o tym do mnie, bo mię aże mgli<sup>73</sup> na wnętrzu słuchać takich bezceństw! Kłaniam się waszej miłości. Ostańcie zdrowi!

Szafirowe oczy pięknej niewiasty pociemniały.

— Stójcie! Ani kroku! Byście gorzko nie pożałowali waszej zuchwałości! Uzałę się królowi. Chyba wiadomo wam, że wszystko odeń otrzymam, czego ino zażądam.

---

<sup>72</sup>na sprzedaj — dziś: na sprzedaż. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>mgli — dziś popr.: mdli. [przypis edytorski]

— A jakże, któż by o tym nie wiedział! Zarówno i to ludzie wiedzą, że i król jego miłość może wzajem od was żądać, czego zapragnie. A przecie mojej chałupy nie do stanicie! To jest taka prawda, jak amen w pacierzu! Nikt mi ojcowizny nie odbierze, nikt! Słyszycie?! Bo by to była krzywda. A król Kazimierz do tej doby niczyjej krzywdy nie ma na sumieniu i, póki żyw, miał nie będzie!

— Upamiętajcie się. Nie drażnijcie mnie.

— Ady ja chcę odejść. Dawno mi już pora do domu.

Rokiczana zerwała się z ławy blada, z pałającymi oczyma. Chwyciła kotka za głowę i rzucała go całą siłą w drugi kąt komnaty. Miauknął przeraźliwie i leżał bez ruchu, omdlały czy nieżywy.

— I wam tak zrobię. Zabiję was!

— Ij... Albo ja kocię? Nie źlijcie się, wasza miłość. Gniew gładkości szkodzi, a cóż byście była warta, gdybyście urodę postradała? Wszak ci za ten towar łaskę pańską kupujecie!

Skurczyła się, jak by zmaląła, uniosła sukni, podbiegła drobnym kroczeniem i uderzyła go w twarz. Za czym otwarłszy drzwi do sieni, krzyczała:

— Hej! Scibor, Sieciech, Janko!

Przybiegli wszyscy trzej.

— Zwołać parobków, związać tego draba i rzucić na gnój! A chałupę jego rozwalić mi w te pędy, by do wieczora znaku po niej nie zostało!

— Wasza miłość... — chciał coś mówić Janko.

— Rozważcie... wstrzymajcie się... król...  
— jękał Sieciech.

Tupnęła nogą.

— Milczeć! Milczeć! Czym ja tu panią abo wy?! Czego stoicie?! Tak rozkazuję, tak ma być! Kto nie usłucha, precz z mego domu! Ścibor, przynieś powróż, a mocny!

Pobiegł i wrócił niebawem z grubym sznurkiem w kółko zwiniętym. Z sieni cisnęli się we drzwi stajenni. Staszka, niestety, nie było mię-

dzy nimi. Nie miał Zbroja ku swej obronie nikogo.

— Rozstąpcie się! Puszczaj mnie wolno, bo ubiję! — ryknął strasznym głosem.

Trzej starsi dworzanie rzucili się nań razem, by go skępować. Dwóch uderzył zaciśniętą pięścią w twarz, potoczyli się, krwią brocząc i krzycząc z bólu. Trzeciego kopnął nogą w brzuch, padł na ziemię bez jęku. Ale równocześnie wyskoczyło z sieni czterech parobków, pochwycili Zbroję zdradliwie za ręce z tyłu i obezwładnili go.

— Bogna! Dawaj kozuszek! Idę sama pilnować tych darmozjadów.

## 4. POJEDNANIE

Dwieście lat trwało kmiece gniazdo przytulone do pańskiego płotu. Ród Zbrojów szczycił się tą chatą z poczerniałych potężnych bierwion modrzewiowych. Rodzili się w niej i wychowywali synowie jak one modrzewie smukli a mocni, rodziły się i chowały dziewczuchy jak

jagody. I polscy królowie życzliwym okiem po-  
glądali na to domostwo chłopskie, wrzące ży-  
ciem, zdrowiem i zamożnością.

A dziś niegodziwa zachcianka samowolnej  
niewiasty, dwadzieścia par rąk, dwadzieścia sie-  
kier, trzy godziny niszczącej pracy i z siedliska  
dostojnego wiekowym istnieniem została kupa  
zrąbanych belek, stos trzasek i wiechcie słomy  
ze strzechy. Gruzy odrzucano na bok, a po do-  
konanym dziele przyjechał parobek z pługiem,  
zaorał ziemię i przywłóczył gładziutko, coby —  
jak rozkazała jej miłość — ani znaku nie zоста-  
ło.

Jakim piołunem rozpaczy poił się Paweł Zbro-  
ja przywiązany do drzewa, patrząc na tę zbrod-  
nię wołającą o pomstę do nieba, ten tylko zro-  
zumie, komu nieprawa siła ziemię ojców wy-  
darła.

Rokiczana pilnowała roboty i przynagla-  
ła do pośpiechu, przykazując służbie z szyder-  
czą troskliwością nie psuć sprzętów i naczynia,  
ustawiać wszystko na uboczu powoli i ostroż-  
nie.

Zbroina siedziała pośród tych łaskawie oszczędzonych statków<sup>74</sup> i zanosła się od płaczu, tułac pozawijane w kilka chust chore dzieciątko. Starsza, pięcioletnia córeczka ścisnęła kurczowo rączkami fałdy matczynej spódnicy i chowała przerażoną twarzyczkę na jej kolanach.

Noc zapadła. Parobcy odeszli. Żaden z nich nie odważył się zbliżyć do Zbroi i rozciąć wiążące go sznury. Każdy czuł, że olbrzymi chłop gotów w przystępie szału zdusić go jak muchę. Uciekli zostawiając go skrępowanego u drzewa.

Po przeciwnej stronie drogi chałupa Trzasków zdawała się opustoszała, jak by wszyscy mieszkańcy gdzieś uciekli albo wymarli. Ani w oknie, ani we drzwiach, ani na podwórku nikogo.

Zaparli drzwi od sieni i siedzieli w ciemnej izbie odrętwiali ze strachu, nie śmiejąc słowa przemówić.

Co się stało? Jakaż okropna kara spadła na Zbroję. I za co? Król, taki sprawiedliwy, jeżeli

---

<sup>74</sup>statki (daw.) — naczynia. [przypis edytorski]



kazał zrównać z ziemią chatę praojców, to chyba za morderstwo albo świętokradztwo. Jakże to? Przecie pierwej sąd, pierwej topór katowski. Wszak ci o niczym nie słyszano. Jeszcze dziś w południe wójt chodził spokojny po swoim podwórzu. Zresztą niepodobne do wiary, by miał zasłużyć na takie hańbiące sponiewieranie swej siedziby. Pyszny był, głowę nosił wysoko, to prawda. Pogardliwym słowem skaleczył niejednego, oj prawda. Ale ino tą hardością wojował, w nijakiej bitce go nie widywano, krwi ludzkiej nie miał na sumieniu.

— Co się to stało? O, mój Jezu, co się stało? Taka żałość, takie nieszczęście! — szeptał Wojciech, ściskając głowę rękoma.

Coś nim szarpnęło, zerwał się.

— Margoś...

— A co?

— Pójdę tam. Nie zdolę usiedzieć w chałupie, gdy oni tacy biedni. Coś trza radzić, popytam się.

— Jagnesia im pono chora — rzuciła Wojciechowa. — Różia gada, że z południa po Grajdoskę posyłali.

— O, chrobaczek malutki, na takim zimnie...

Wyskoczył z domu i pobiegł prosto ku Zbroinie.

— Wójtowa...

— O, rety boskie! Cóż się tam nowego wali na mnie sierotę! Ady mi już oczy omal nie wypłyną z onego płakania.

— Nic złego, moiściewy, ino z dobrym sercem przychodzę ku wam. Bardzo was pięknie prosimy oboje z Margosią, cobyście to niebożątka chore do ciepłej izby wnieśli. Nie sposób siedzieć na takim mokrze. Jeszcze uskwirknie<sup>75</sup> kruszyna, a i to drugie gotowe zachorzeć.

— Ja do was? Anibym śmiała wejść do waszej chałupy. Tylem razy...

— Dajcie spokój z wypominkami. Nie wiemy o niczym, urazy nijakiej nie chowamy. Pójdźcie co prędzej, ułożymy Jagnesię w łóżku, mo-

---

<sup>75</sup>uskwirknąć (gw.) — umrzeć. [przypis edytorski]

ja zna wszelakie ziółka na dziecinne chorości, zobaczycie, że wam dziewczuszka do jutra pozdrowieje. Marysia też rada napije się mleczka, prawda?

— Bóg zapłać, Bóg zapłać po stokrotne razy... A cóżeście za ludzie, złego nie pamiętający! Ino boję się, co mój na to?

— A gdzie on?

— Nie wiem. Uciekłam z domu. Ino te zbiry swoją zbójecką robotę poczęły, nie widziałam Pawła wcale i do tej pory go nie było. Pewnikiem płacze gdzie w kącie.

— Pójdę go poszukać i przyprowadzę. A wy tymczasem idźcie się zagrzać.

Wojciechowa czekała we drzwiach i przyjęła Zbroinę bez przesadnie czułych okrzyków, z naturalną serdecznością, jakby żyły w przyjaźni od niepamiętnych czasów. Chore dziecko ułożono wygodnie w spokojnym kąciku, dla zdrowych sposobiono wieczerzę.

Trzaska tymczasem podszedł ku zwaliskom i upatrywał nieszczęśliwego sąsiada. Nie było

go nigdzie w pobliżu. Gdzież się mógł podziać? A może z rozpaczy co złego sobie zrobił?

— O, Chryste Panie! To by już było najokropniejsze nieszczęście! — mimo woli głośno krzyknął Wojciech. — Pójdę do sadu. Nic nie pomoże. Szukać go trzeba.

Szedł powoli. Przy każdym drzewie krzesił ogień i w błyskawicznym świetle iskierek rzucał okiem na konary, czy coś strasznego nie ujrzy. Wtem zdało mu się, że słyszy jakiś jęk czy głębokie westchnienie. Skoczył w tę stronę. Poświecił.

Grubymi powrozami przywiązany pod pachy i w pasie do drzewa, z głową na piersi opadł zwisał zemdlony Zbroja.

— O, katy przemierze! Bodajeście dziecięć lat konali! — zaklął Wojciech oburzony tak niezmiernym okrucieństwem.

Dobył z zanadrza składany nożyk i czym prędzej przeciął sznury. Bezwładne ciało osunęło się na ziemię jak kłoda.

— Sąsiedzie, ocknijcie! Przecie serce bije, ciepły. Pawle, próbujcie stanąć, pomogę wam,

to ino ręce i nogi ścierpły od zimna i od tych ciasnych węzłów.

Wziął go za ramiona i potrząsnął kilka razy.

— Co takiego? Czego chcecie? Kto tu jest?

— wyjąkał Zbroja na wpół przytomny.

— To ja, Trzaska, szukałem was.

— Jeszcze i ty, dziadu, będziesz mi urągał nieszczęsnemu? Idź precz, precz, mówię! Niech zemrę w spokoju!

— Ale co byście ta o śmierci gadali. Zeprzyjcie się na mnie, stańcie ino, zaraz będzie lepiej. No, spróbujcie, mój sąsiedzie kochany!

— Nie kochanym ja tobie, ino nieprzyjaciel. Za co mnie masz kochać? Radujesz się moim pognębieniem. Dusza się w tobie śmieje. Idź precz, zanim siłę poczuję! Idź, mówię, bo ci łeb o drzewo rozwalę!

— Bodajem jutra nie doczekał, jeśli w mojej duszy śmiech, a nie gorzkość nad waszą krzywdą! Pójdźcie, pójdźcie, co byśmy ta stali na słocie. Łyżkę ciepłej strawy przyjmiecie od nas. Szczerym sercem prosimy. Wasza tam już jest z dziećmi.

Zbroja milczał, nogi się pod nim gięły, oparł się o drzewo.

— No, sąsiedzie, szkoda zdrowia. Idźmy już.

— Może se myślicie — chrypliwie sarknął Zbroja — że teraz wasza dziewczucha prawie dla mego Staszka, skoro ojcowie dachu nad głową nie mają? Oho, dziesięć takich chałup pobuduję i jeszcze nie zbiednieję. Macie se wiedzieć, że mój syn nie dla waszej Baśki!

Trzaska odsapnął głośno, przesunął rękawem po czole i odszedł.

— No, cóż. Znaleźliście go? — spytała Zbroina niespokojnie, gdy tylko wszedł do izby.

— Znalazłem, ale nie chce przyjść — odpowiedział głucho.

Żona spojrzała nań ukradkiem. Oj, źle. Broda wyskoczyła naprzód, oczy łyskają jak u wilka. Musiało go coś strasznie rozgniewać.

Zastawiła wieczerzę, podsunięto ławy do stołu, zasiedli jeść. Wojciech maczał tylko łyżkę w zacierce i próżną niósł do ust.

„Coś ci mu dopiekło do żywego — myślała żona. — Przed wieczorem narzekał, że bardzo głodny, a teraz ino udaje”.

Chora Jagnesia zapłakała. Obie kobiety poskoczyły do łóżka.

— Naparzyłam centurii z rumiankiem — rzekła Wojciechowa — trza jej wlać siłą, mocą do gębusi. Z dobrej woli nie wypije, bo gorzkie. Nie bójcie się, już ostudzone. Żywokost i boże drzewko gotuje się od godziny. Zrobimy letnią kąpielkę. Za łaską boską szczególnie choroba, jak ręką odjął. Zobaczycie.

Korzystając, że matka zajęła się Jagnesią, Wojciechowa przystąpiła do męża i pociągnęła go za rękaw.

— Ojciec, odpuść mu.

— Niech zdycha jak pies. Cieszył się będą — syknął przez zęby.

— Abo to prawda? Inszemu takie baję rozprowadaj, a nie mnie. Nie znam cię to, żeś poczciwości chłopisko? Odpuść mu, a wnetki ci ulży na sercu. Tegoś taki zły, że się nie chcesz gniewać, a musisz. Pewnikiem ci nagadał zelży-

wości<sup>76</sup>? Pan Jezus tobie odda dziesięć lat zdrowia za każde słowo. Odpuść mu. Spomnij se, jaka góra onego przywaliła. Człek w nieszczęściu, to niczym obłąkaniec. Gęba plecie, a głowa o tym nie wie.

— Oho, dobrze on rozumiał, co mówił! Cale był przytomny!

— Za te osiemnaście lat, cośmy ze sobą przeżyli, za każdy raz, coś mnie skrzyczał, a jam zmilczała, zapłać mi dziś. Odpuść mu!

— No, to co mam czynić?! — krzyknął zwracając się ku niej z zaciśniętymi pięściami. — Gadaj, co chcesz ode mnie?

— Idź i póty mu ze serca domawiaj, aż się opamięta i przyjdzie do nas.

— Nie zdołę.

— No, to ja spróbuję, inom jeszcze słaba. Musi mnie Pietrek prowadzić, bo się ano trzęsę cała.

— Ani mi się waź!

— Powiedz ino, gdzie go szukać, cobym nie łaziła długo.

---

<sup>76</sup>zelżywość (daw.) — obelga. [przypis edytorski]



— O, rety! Siedź w chałupie! Idę już, idę!  
Kasia, dawaj kaganek!

Stanął przed płotem i rozważał, w której stronie najprawdopodobniej może znaleźć Zbroję. Postacie jakieś zamajaczyły w mroku. Pijani ludzie szli zataczając się i śpiewając. Na czele Wątorek, ramię w ramię z organistą z Rudawy, przytupywał ochoczo postołami po brudnym śniegu i wrzeszczał ochryłym głosem:

Od Krakowa Idzie chłop,  
Dana hop, dana hop!  
Za nim baba lezie w trop,  
Dana hop, dana hop!

— Dana hop! Dana hop! — powtórzył chór pijaków.

Spieś że się już od rana?  
Hop dana, hop dana!  
A tak, Jaguś kochana.  
Hop dana, hop dana!  
Jakem wyjął z beczki czop,  
Dana hop, dana hop!

Miodek trysnął aż pod strop,  
Dana hop, dana hop!  
Nie warto pić ze dzbana,  
Hop da...

Wątopek ze swym towarzyszem przewrócił się jak długi i gramolił się klnąc a macając przed sobą rękoma.

— A cóż za biesi ustyrmali takie dyle<sup>77</sup> na drodze? Fura z drzewem się wywalila czy co?

Któryś z chłopów skrzesał ognia, rozdmuchał hubkę<sup>78</sup>, podniósł z ziemi trzaseczkę i zaświecił.

— O, ludzie! A tośmy pobłądzili!

— Abo co?

— No, jakże? Gdzieżeśmy zaleźli? Toć mimo<sup>79</sup> Zbrojów chałupy się idzie, a gdzie Zbrojów chałupa?

— Jużci prawda. Podziała się gdziesi.

— No, a to po prawej stronie?

---

<sup>77</sup>*dyl* — belka. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*hubka* — łatwo się tłący materiał, np. miąższ huby, stosowany przy rozpalaniu ognia z pomocą krzesiwa. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*mimo* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

— Zda się, że Trzasków obejście.

— Ale gdy z lewej nie ma nic...

Organista odchrząknął znacząco i zabrał głos:

— Najmilejsi przyjaciele a bracia spod wiechy<sup>80</sup>! Oko moje, acz nieco znużeniem zamgłone, dalej widzi i więcej miarkuje<sup>81</sup> niż wasze, uczciwszy uszy, pijane ślepia. Tedy posłyszcie prawdę: nie przyrodzony trafunek<sup>82</sup> nas spotyka, ino diabelska mamuna<sup>83</sup>. Biesi nas chcą zawieść na mokrzadła, ale nie dajmy się. Idźmy prosto przed się, nie obzierając się wstecz ani na boki. Jutro, ino zorza zaświta, drągi, krokwie i potrzaskane belki szecznią jak dym, a wszystko insze wróci na swoje miejsce. Amen.

Skupili się i trzymając jeden drugiego pod ramię, umykali po cichu.

Świecąc drogę przed sobą, doszedł Wojciech do zwalisk i szukał.

---

<sup>80</sup>*wiecha* — wieniec, tradycyjnie wieszany nad karczmą, w której podawane jest piwo. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*miarkować* (daw.) — rozumieć. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*trafunek* (daw.) — traf, przypadek. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*mamuna* — w mitologii ludowej demon łudzący ludzi. [przypis edytorski]

Zbroja oparł kilka desek o drzewo przydrożne, górą zarzucił parę garści słomy i siedział w tej budce zgarbiony, z błędnym spojrzeniem, zsiniały od zimna. Wojciech wyciągnął doń rękę.

— Sąsiedzie, na rany pańskie klnę się, że nie chcę nic od was ani od waszego syna, ani nawet dobrego słowa nie żądam, ino pod tę biedną zbutwiałą strzechę wejdźcie, a spocznijcie w srogim utrapieniu. Czyli mam sto razy powtarzać, jako mi się serce kraje nad waszą niedolą, a poza tym cale inszej myśli nie mam.

Zbroja wyczołgał się z szałas.

— Takim sturbowany<sup>84</sup>, tak mi we łbie hu-  
czy, tak one siekiery walą we mnie, już mocy  
nie mam przeciwieć się.

Przekroczyli próg, weszli na podwórko w milczeniu. Wojciech otworzył drzwi.

Kilka grubych polan paliło się z trzaskiem na kominie. Blask ognia oświecał wesoło całą niedużą izbę. Czternastoletnia Kasia trzymała na kolanach śpiącą Marysię Zbrojanekę, a nie-

---

<sup>84</sup>*sturbowany* — zmartwiony. [przypis edytorski]

daleko pieca obie kobiety, pochylone nad waniemką, kąpały chore dziecko.

Zbroja potoczył wzrokiem po wszystkich, zachwiał się i runął na kolana, zanosząc się strasznym płaczem.

## 5. SĄD

Śnieg prószył bez ustanku. Z północks przy-marzło trochę. Gdy Trzaska wyjrzał rano z chałupy, cały świat, gdzie okiem rzucić, wszystkie role i łąki, drogi i ścieżki, drzewa, strzechy domów i płoty, wszystko pokryło się białym puchem. Górą płynęły ciężkie skłębione chmury, ale wschodni wiatr pędził je gdzieś w dalekie kraje, rozdzierał czasem jakiś bielszy obłok i na mgnienie oka migotało coś niebieskiego, za czym łączyły się znów chmury i znowu było szaro i smutno.

W izbie czynił się ruch. Zbroina uprosiwszy Wojciechową, by sobie wypoczęła i leżała jak najdłużej, krzątała się przy ognisku, gotując wszystkim śniadanie. Kamień jej spadł

z serca, bo Jagnesia po wczorajszej kąpieli całą noc przespalała spokojnie i obudziła się chłodna, z przytomnymi oczkami. Nawet jeść wołała, ale ją matka tylko napoiła mlekiem i utuliła na nowo. Dziecko, zmęczone wczorajszą gorączką, chrapało smacznie pod pierzyną.

Zbroja siedział na ławie zgięty wpół, z łokciami na kolanach, z twarzą w dłoniach. Pierwszy wybuch żalości niezmiernej przeminął, została tępa rozpacz i zawziętość wściekła, choć niema. Nikt nie śmiał budzić go z odrętwienia. Pocieszali się, że drzemie.

Już i dzieci powstawały ze słomianych pościółek. To jedno, to drugie przebiegało do sieni i przed dom napatrzeć się pierwszemu śniegowi. Czasem które zaśmiało się głośno, a on siedział bez ruchu jak skamieniały.

Zbroina zdobyła się na odwagę, przystąpiła do męża cichutko i dotknęła go ręką.

— Paweł. Napiłbyś się gorącego żuru, zaraz porzetelniejesz. Skrzepłeś na zimnie. Jak będziesz tak ciągiem siedział, to zamróż z ciebie nie wyjdzie ani na południe. No, wstań. Trza

się opamiętać. Nie wstyd ci, ja, baba, a nie daję się biedzie. No, Paweł, dobrze ci radzę.

Westchnął ciężko i podniósł głowę.

— Czego chcesz ode mnie?

— Naści garnuś żuru i chleba skibkę. Mój ty, usłuchaj mnie!

Wypił chciwie duszkiem.

— Nie chcę chleba, niegłodnym.

Zbliżył się Wojciech.

— Na mój rozum, sąsiedzie, to by wam zaraz, dziś do Krakowa pojechać, prosto do króla. Zabierzemy się razem, a zem jest najbliższy wasz sąsiad i widziałem wszystko od pierwszego uderzenia siekiery do ostatniego, więc świadczyć będę, jako wam się niewinnie stała krzywda, od pamięci świata nie słychana.

Zbroja podniósł się ociężale z ławy, położył ręce na ramionach Trzaski i patrzył mu w oczy długo, badawczo.

— A ja... a ja... o, rany Pana Boga, a ja was psami poszczuć chciałem! O, Jezu miłosierny, toćżeś mnie jeszcze za letko skarał!

— Cichajcie, sąsiedzie. Co inszego mamy na głowie, a nie stare dzieje wypominać. Za godzinkę pojedziemy, dobrze?

— Nie! Póty się z tego miejsca nie ruszę, póty kęsa chleba nie przełknę, póty żebrakiem przed wami stał będę, póki mi ze szczerego serca nie odpuścicie. Jakoż mi własnej krzywdy dochodzić, kiedy sam tyle lat nękałem was na każdym kroku?

— A, dajcie już spokój! Nie trapcie się byle czym. Jeszcze wczoraj, w tym straszliwym nawiedzeniu pańskim, wszelaką urazę rzuciłem precz. Pan Jezus mi świadkiem, że się cale a cale nie gniewam i w świętej zgodzie z wami żył będę do grobowej deski. Ino jedna rzecz musi ostać po staremu.

— Dlaczego musi i co takiego?

— Zawzięłem się srodze, że moja Basia nie dla waszego Staszka, ani wasz Staszek nie dla mojej Baśki. Amen!

— A ja właśnie... pokłonić się wam chciałem...



— Nie, nie. Już mi nie wspominajcie nawet. Święta zgoda między nami, tylko o tym ani słowa.

— Nie dziwuję się — rzekł smutno Zbroja. — Gdybym był na waszym miejscu, nie inaczej bym uczynił.

— Wiecie, co sobie rozważam — zagadnął Trzaska, zmieniając rozmowę — łaska boska, żeście mieli przy chałupie sad, a za sadem dopiero stodołę i stajnię. Tego przynajmniej nie kazała wam zburzyć ta ladacznica.

Dawna buta błysnęła w oczach Zbroi.

— A ja se takusieńki dom zbuduję, na tym samym miejscu, ino jeszcze o kilka piędzi<sup>85</sup> wyższy.

— Dziękować Bogu, już mój Paweł pozdrowiał! — rzekła Zbroina, ruszając ramionami — już się go głupstwa chytają. A zbuduj, zbuduj, ona ci drugi raz rozwali, ino cię już wtedy nie do drzewa przywiąże, a na drzewie obwiesi. Zobaczysz.

---

<sup>85</sup>piędź — dawna miara długości. [przypis edytorski]

— Oho, drugi raz nie będzie się ważyła! Król nie żartuje. Pamiętajcie, Wojciechu, jak to nasz miłościwy pan skazał na wieżę<sup>86</sup> starostę wojnickiego za to, że pobił do krwi karbowego<sup>87</sup> i rękę mu złamał? Ponoś sześć niedziel<sup>88</sup> za kratą siedział.

— Aha! A tenże Godzamba, podczaszy jakiś czy krajczy, co to rolę wdowie nieprawnie zagarnął? Nie ino wszystko musiał oddać, jeszcze caluszką morgę doczynić ze swego za karę.

— Ano, tedy zważcie, mądre ludzie, czy owa skarga na Rokiczanę tak wam pójdzie, jak po maśle, hę? Na jedną wagę padnie sprawiedliwość strasznie ciężka, na drugą wagę miłowanie. Teraz jeden Pan Jezus Przenajświętszy wie, co u króla zacięży bardziej. Ja bym ta jeszcze nie wyskakiwała z radości.

— Brednie bajesz, Orsula. Ino niespokój budzisz takim wątpieniem. Król nie ścierpi mojej krzywdy!

---

<sup>86</sup>wieża (daw.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>karbowy — osoba nadzorująca pracę w majątku ziemskim. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>sześć niedziel (daw.) — sześć tygodni. [przypis edytorski]

— A jeżeli całe przydarzenie jej usta pierwszej opowiedzą, nie twoje? Wszak ci każda sprawa może być czarna jak smoła albo biała jak śnieg, ino ją umieć wykręcić wedle potrzeby. Zresztą, nie przeciwię się. Być może, iż król wynagrodzi cię sowicie i łaską udaruje, ale onej... co zawiniła, nie ukarze. Będzie se dalej panowała we dworcu i już jej głowa w tym, coby tobie, mnie i naszym dzieciom życie obmierzło. Spomnisz moje słowo.

Drzwi się otwarły i Staszek wpadł do izby. Podszedł ku ojcu i objął go z płaczem za nogi. Ale Zbroja, pokrzepiony na duchu pojednaniem z Trzaską, zagadał do niego spokojnym głosem:

— Żal ci, synu, pradziadkowej chałupy? Oj, i mnie się serce krwawi. Ale darmo. Co się stało, nie odstanie. Już nie ma naszego gniazda. Trza klecić nowe. Ino pierwszej jadę po sprawiedliwość do króla. Dobrze, żeś przyszedł. Ma się wiedzieć, że już twoja noga tam nie postanie. Biegaj do szopy, wytocz wóz.

— Tatusiu, ady sanna rozścieliła się niczym kobierzec. Piękniuszko aż radość.

— Tym ci lepiej. Saniami pojedziemy. Słomy nie żałuj, siedzenie wymość szerokie. Jedziemy oba z Wojciechem, ty nas powieziesz.

Staszek patrzył zdumionym wzrokiem to na ojca, to na gospodarza. Nie mógł się połapać, czuł jednak, że jakaś otucha wstępuje mu w serce.

— Gdyby człowiek zaczął spominać to, co się nasłucha o sprawiedliwości królewskiej, to by do wieczora było co gadać.

— A ja wam jedno powiem — rzekła Zbroina, biorąc się pod boki — mądrzyście jak dwa Salomony, a i tak nie wiecie nic.

— To źle, kiej nic nie wiemy — odparł Zbroja ze śmiechem. — Zniosła kura dwa jajka naraz? Czy co ważniejszego jeszcze się stało?

— Słowa nie cofam. Nie wiecie nic. Starosta, podczaszy, podstoli, podsędek, niech ta będzie, kto se chciał, to jest co inszego, a niewiasta umiłowana, gładka, młodziuśka, przychlibna, to zasię co inszego. Nie ma żywej du-

szy w Łobzowie, ba, co gadam, w całym Krakowie nawet, co by nie wiedziała, że jej miłość Rokiczana tyle znaczy u króla, co źrenica oka.

— Bóg święty widzi, że nie łżecie — szepnął smutno Trzaska.

— No, idź, idź. Zaprzęgaj, a duchem!

— O, ludzie, ludzie! W tej turbacji wszyscyśmy potracili głowy! — zawołała Wojciechowa ze swego kąta.

— Cóż ci się dzieje? O co krzyczysz? — spyta) mąż, podbiegając do łóżka.

— Jeszcześ nie pomiarkował? Toli dziś niedziela, miałeś pożyczyć koni i jechać z dzieckiem do kościoła.

— Raju, do krzty zabaczyłem<sup>89</sup>! Lada chwila i kumoter<sup>90</sup> nadejdzie, co teraz robić?

— Kumoter? Toście się już postarali o chrzestnego ojca? — spytał ciekawie Zbroja.

— Sam się naraił<sup>91</sup>.

— Prochal albo Magiera, prawda?

---

<sup>89</sup>*zabaczyć* (daw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*kumoter* — tu: ojciec chrzestny. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*naraić* (daw.) — polecić. [przypis edytorski]

— Nie zgadujcie darmo, bo ani my sami nie wiemy, jak się ten człowiek zowie.

— Jakżeby to być mogło? Krotofile<sup>92</sup> wyprowadzacie?

— Ano, miarkujcie sami, czy krotofile. Akuratnie w ten dzień, co się dziewuszątko narodziło, zapukał ktoś do drzwi wieczorem. Wpuszczamy. Podróżny zmęczony, przemokły, zziębnięty chciał się zagrzać u naszego komina.

— Cóż za jeden?

— Ciemno było w izbie, nie mogłem dojrzeć tak dalece. Biedota jakaś ze sprawą do Krakowa.

— I takiegoście przyjęli? Zmiłujcie się! Obezwaniec, może ładaco jakie?

— Roztropnie gadał. Zaraz od pierwszego słowa widno było, że człek dorzeczny, niegłupi. Trochęśmy się nawet przemówili<sup>93</sup>, ale bez gniewu. Cóżem miał robić, skoro sam się wprosił. Musiałem przyjąć, jeszcze i podziękować.

---

<sup>92</sup>*krotofila* (daw.) — żart. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*przemówić się* (daw.) — pokłócić się. [przypis edytorski]

— Kto go ta wie, czy się stawi w słowie taki obieżyświat... Lepiej byście to nasze świeże pojednanie kumoterstwem umocowali, co?

— Z duszy, serca bym rad, mój Pawle kochany, ale sami powiedzcie, nie godzi się wzgardzić gorszym dla lepszego. Muszę nań czekać cierpliwie do południa. Gdyby nie przyszedł, to z uradowaniem waszą ochotność przyjmuję. A jakby tam za jaki roczek Pan Jezus obdarował nas dziewiątym...

— Wojtek! Moja Pawłowa, przylepcie mu ta w kark, ino mocno! Słyszał kto coś podobnego! Jeszcze ósme nie ochrzczone, a onemu już dziewiąte w głowie!

— Nie źlij się, Margoś, bo cię zimno chyci. Ja nic nie mówię, ino powiadam, jakby... tam... kiedyś... co... na ten przykład, takiego... to choćby mi się sam pan stolnik Wierzynek w pas kłaniał, nie jego chcę mieć za kumotra, ino was. A tymczasem nie wiadomo, co robić, czy na skargę, czy do chrztu jechać.

— Co robić? I jedno, i drugie — rzekł Zbroja. — Dziewuszkę ochrzcimy, a potem na

gród do miłościwego króla. Moja baba siądzie z dzieckiem na sanie, ino musicie omatulić<sup>94</sup> chrobaczka<sup>95</sup> dokumentnie, jeszcze i kozuchem się okryje po wierzchu. Kumoter wedle <sup>96</sup>niej — coby się ino nie spóźnił — my oba naprzeciw, Staszek strzeli z bata i „szczęśliwa droga!” Pilno mi też, to pilno do onego Krakowa! Ni-jakie słowo tego nie wypowie, co ja za ogień mam w sercu. Wiecie co, Wojciechu, pójdę pomóc chłopakowi zaprzęgać.

— Ja z wami. No, bywaj zdrowa, Margoś. A o to dziewiąte nie turbuj<sup>97</sup> się tak srodze. Rok długi, dwanaście miesięcy, to kawał czasu.

— Idź mi z oczu! Nienawidzę cię.

— I ja ciebie. Wiesz, damy onemu Kasper abo Majcherek, bo z pewnością będzie synek. A mój duch mi cosi gada, że na Trzy Króle przypadną chrzciny.

— Pawłowa, rozbijcie mu ta który garn-czek na głowie, proszę was.

---

<sup>94</sup>*omatulić* — opatulić, owinać. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*chrobaczek* — pieszczotliwie: robaczek. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*wedle* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*turbować się* (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]



— Idę już, idę. A pośpieszcie się przewinać czyściutko, bieluśko tego chrobaczka biednego. My tu zaraz nadjedziemy.

Wyszli na drogę i mieli iść w górę, poza sad Zbrojów, do stajni, gdy jakiś gwar głosów uderzył ich uszy. Z każdej chałupy, z bocznych ścieżek wybiegały dzieci, dziewczęta. Przez płoty przeskakiwali chłopcy. Nawet starsi gospodarze i gospodynie wychylali głowy poza wrota. Kilkoro młodzieży przeleciało pędem mimo<sup>98</sup> Trzaski i Zbroi.

— No, Walek, oślepiło cię czy co, prosto na ludzi walisz?

— Wybaczcie, moiściewy, moiściewy, ja ino niechący. Ady<sup>99</sup> wszyscy przeciw królowi biegniemy.

— Co takiego?

— Ano Jędrak Wajda gnał na przelaj skroś łąk do domu, że to uwidział królewski orszak w tę stronę zmierzający.

---

<sup>98</sup>*mimo* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*ady* (gw.) — ale, przecież. [przypis edytorski]

— Król jedzie! — krzyknął Zbroja nie-  
ludzkim głosem.

— A jużci. Dwa tygodnie go nie było, trza  
się panu pokłonić.

— Trza się panu pokłonić — powtórzył  
Zbroja ponuro.

Zawrócił z miejsca i jak nieprzytomny biegł  
drogą ku Krakowowi.

Pośród gromadki śpieszącej naprzeciw mi-  
łościwego pana zrobiła się jakby ulica. Ludność  
wiejska rozstępowała się ze strachem, chłopci  
szepotali coś do siebie i kiwali smutnie głowami.

Kilkadziesiąt kroków dzieliło tę garstkę łob-  
zowian od zbliżającego się orszaku jezdnych.

Król Kazimierz miał pod sobą silnej budo-  
wy karogniadego wierzchowca. Jechał stępa<sup>100</sup>  
i z widocznym zadowoleniem rozglądał się po  
zaśnieżonych polach i sędzielizną<sup>101</sup> pokrytych  
drzewach przydrożnych. Kołpak miał aksamit-  
ny, kunim futrem obkładany. Płaszcz bez ręc-  
kawów zarzucony na ramiona, spięty srebrną

---

<sup>100</sup>*stępa* — najpowolniejszy chód konia. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*sędzielizna* (daw.) — siwizna (tu mowa o śniegu bądź szadzi na gałęziach).  
[przypis edytorski]

klamrą, osłaniał go od zimna i spadał na boki i zad konia. Spod płaszcza łyśkał czasem pas ze złotych płaskich ogniów pleciony, zapięty na ciemnym żupanie<sup>102</sup>. Nogawice sukienne i grube cizmy<sup>103</sup> skórzane dopełniały zimowego ubioru króla.

Kochan, ulubiony dworzanin, jechał obok na siwym koniu, zaś o kilka kroków z tyłu sześciu pokojowców i dwóch paziów miarkowali<sup>104</sup> chód swych dziarskich mierzynów<sup>105</sup>, by się nie przybliżyć zanadto do miłościwego pana.

Na wspaniałym i zazwyczaj poważnym obliczu króla malowała się dziś swobodna wesołość. Mądre oczy przybierały wyraz żartobliwy, gdy zwracając się do Kochana, coś mówił półgłosem i gładził ciemną brodę, sztucznie<sup>106</sup> gorącym żelazem jakby w rurki trefioną<sup>107</sup>. Wła-

---

<sup>102</sup>*żupan* — staropolski męski ubiór szlachecki, przypominający suknię z guzikami lub męski płaszcz. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*cizmy* — buty z miękkiej skóry o wydłużonym czubie. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*miarkować* — tu: spowalniać. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*mierzyn* (daw.) — niewielki koń pociągowy. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*sztucznie* (daw.) — umiejętnie. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*trefić* — układać włosy. [przypis edytorski]

śnie coś wielce zajmującego a śmiesznego wymówiły usta miłościwego pana, bo dworzanin aż się ręką po udzie uderzył i w głos się roześmiał, gdy zaczerniała droga od nadchodzących ludzi, przed którymi szedł Zbroja jak oszalały, z wyciągniętymi rękoma. Tak nagle nań spadła wiadomość o przyjeździe króla, tak bez przygotowania poczuł, że lada chwila skarga jego będzie przyjęta lub odrzucona, że niemal stracił przytomność.

Ogrom krzywdy jęczał mu w uszach tysiącem dzwonów, każda kropla krwi drgała żądzą pomsty.

Przypadł tuż pod nogi konia królewskiego i rzucił się z krzykiem na ziemię.

Kazimierz szarpnął uzdę, gniadosz wspiał się na zadnich nogach i uskoczył w bok, inaczej byłby niechybnie musiał stratować leżącego tuż pod kopytami chłopca.

— Co to jest? Co to ma znaczyć! — zawołał król gromko do nadciągającej rzeszy.

Mężczyźni spuścili głowy i milczeli. Kobiety zawodziły płaczliwie:

— O, Jezu, Jezu! O, Najświętsza Panienko!

— Spytaj, wasze, tych ludzi, czego chcą — rzekł król do Kochana, brwi marszcząc gniewnie.

Tak się dziś wesoło dzień zapowiadał, bez troski, prawdziwie niedzielny. Pogoda nawet robiła się od rana: chmury pouciekały, słońce jarzyło się na błękitnym niebie niczym owiosnie. A tu, jak na złość, obłąkany czy pijak na czele zuchwałej zgrai drogę panu zastępuje! Zuchwałej? Nie. Ci ludzie smutni są, przerażeni, nie śmiają w oczy spojrzeć królowi, a płaczą. Zawinili ciężko i boją się przyznać?

Dworzanin podjechał ku gromadce gospodarzy i rozpytywał jednego po drugim. Załamywali ręce i wzrokiem wskazywali na Zbroję. Tymczasem i król pochylił się z konia, by dojrzeć twarz leżącego.

— Wójt łobzowski? Co ci się dzieje, człeczko? Na miły Bóg, wstań i gadaj!

Zbroja dźwignął się na kolana, czepił się strzemienia królewskiego i ryknął jak zraniony niedźwiedź:

— Krzywda!

— Ciebie kto skrzywdził?

— Mnie!

— Co ci uczyniono?

— Dom, co pradziady zbudowały, gniazdo pięciu pokoleń...

— Podpalił kto? Z dymem puścił? — pytał król ze zgrozą, pochylając twarz ku mówiącemu.

— Zburzyli... na trzaski porąbali... ziemia na tym miejscu zaorana.

Król spojrział po ludziach.

— Ten człowiek chory jest. Od rzeczy gada. Sam nie wie, co mówi. Czy tak?

— Prawdę mówi, najmiłościwszy królu! — zawołali wszyscy jednym głosem.

— Któż śmiał popełnić takie straszliwe okrucieństwo?

— Kto?! — zakrzyczał Zbroja, zrywając się z klęczek. — Kto to popełnił?! Jej miłość pani ze dwora!

— A!

Król rzucił się z koniem wstecz. Ziemista szarość pokryła jego oblicze, nadając mu nieruchomość kamienia.

Żadne usta nie ośmieliły się wymówić słowa. Zapatrzeni w srogą twarz pańską, ludzie bali się odetchnąć. Konie tylko, spragnione ruchu, żuły wędzidła i chrapały niecierpliwie.

Rokiczana, zamknięta w swej sypialnej izbie, kończyła się przystrajać na przyjęcie miłego pana. Król spędzał w Łobzowie wszystkie wolne od pracy godziny, prawie każde święto albo niedzielę. Sądy w Bieczu i Tarnowie zajęły mu blisko dwa tygodnie czasu, toteż piękna Czeszka spodziewała się na pewno przybycia jego dziś, przed południem.

Najzręczniejsza z dworskich dziewcząt, Bogna, pomagała pani przy ubieraniu. Gęste i długie włosy podzieliła na osiem pasm i zaplotła w szeroki, płaski warkocz, dodając pomiędzy sploty ognistopąsową wstążkę, zakończoną misternym węzłem o czterech puklach<sup>108</sup>. Na gło-

---

<sup>108</sup>pukiel (daw.) — lok. [przypis edytorski]

wie nie miała dziś Rokiczana codziennej czapeczki perlami szytej, tylko twarde okrągłe denko, obciągnięte gładziutko aksamitem i otoczone grubym wałeczkiem również aksamitnym, zdobnym w gwiazdki z drogich kamieni. Ponieważ taki ubiorek nie uleżałby żadną miarą na głowie, podtrzymywała go znowu wstążka, przyszyta do czapeczki z lewej, a zapięta szpilką diamentową z prawej strony twarzy. Rokiczana chciała dziś oczarować króla swą urodą, miała bowiem trochę obawy, czy nie zostanie ostro połajana za wczorajszy wybryk.

„Muszę być tak śliczna — myślała uśmiechając się do zwierciadła — by nie tylko głupiego chłopca, ale całego świata poza mną nie widział!”

— Bogna, próżniaku, niezdaro, jeszcześ szaty nie dożyła ze skrzyni?!

— Czyli wiem, jaką wdziac chcecie? — odparła dziewczyna, ruszając ramionami.

— Już bym do tego czasu psa i kota wuczyła posługi, a ta stoi na środku izby jak pień! Masz!



I rozzłoszczona niewiasta uderzyła dziewczynę po głowie kantem ciężkiego stalowego grzebienia.

— Karmazynową dawaj! Wszak widzisz, w jakiej barwie wstęga we włosach i czółko na głowie! Prędziej, prędziej, nie na jutro mi potrze<sup>109</sup>, ino na dziś!

Stanik obcisty, dokoła szyi okrągło wycięty i zahaftowany, schodził aż do połowy bioder, gdzie była doń przyszyta lekko fałdzista spódnica. Połączenie tych dwóch części sukni zdobiła szeroka wstawka ze złotej lamy, iskrząca od szafirów i rubinów. Ciasne rękawy zakrywały rączki do pół dłoni, zwierzchnie zaś, o wiele szersze, a od łokcia rozprute, spadały do ziemi. Czerwone safianowe cizemki dopełniały stroju.

Ktoś załomotał silnie drzwiami.

— Co takiego? Kto śmie!

— Otwierajcie, wasza miłość! — wołał drżącym głosem Ścibor, nie przestając stukać.

Odsunęła rygiel.

---

<sup>109</sup>potrzea — dziś popr.: potrzeba. [przypis edytorski]

— Cóż za pilna sprawa? Nie możesz poczekać?

— Król przyjechał!

— No, to i co?

— Kazał omieść ze śniegu ławę pod jesionem na góreczce.

— Ławę? Po co?

— Zasiadł na niej i was kazał przywołać.

— Nie wyjdę. Zimno, śnieg, cizemki mam cieniuchne, mogłabym nogi zamoczyć. Proś króla do izby. Powiedz, że jestem niezdrowa.

— Odziejcie się ciepło i wynijdźcie. Miłociwy pan zagniewany, niech się wasza miłość nie przeciwi.

Rokiczana zmarszczyła brwi, przygryzła wargi, stanęła w progu, wahając się. Po krótkim namyśle wybiegła z domu w samej sukni i mknęła lekko przez wymiecione podwórze za bramę.

— O to jest! — wołała przechylając zalotnie głowę i śmiejąc się już z daleka do króla.

— Cóż za nowy obyczaj ustanowiliście, miło-

ściwy panie? Zali<sup>110</sup> was przed wrotami ma witać wierna służebnica wasza?

Król siedział pod drzewem sztywno wyprostowany, z dłońmi na kolanach. Nie odwrócił głowy, patrzył prosto przed siebie, w jakąś dal bez granic.

Za drzewami służba trzymała konie u pysków, żeby stały spokojnie; poniżej, na drodze, garstka chłopów zdrętwiała w oczekiwaniu czegoś wielkiego, a u stóp królewskich skurczony, z głową ku ziemi, Zbroja.

Lodowaty strach przeleciał Rokiczanę od stóp do głów.

— Wołaliście mnie, panie? — rzekła siląc się na uśmiech. — Pójdziemy do komnat, zimno tu, a jam się nie przyodziała. Biegnę przodem, a wy mię gońcie, dobrze?

— Zbliź się, stań przede mną — przemówił król dziwnym, nie swoim głosem.

— Już stoję. A dalej co? — zbladłymi wargami śmiała się niewiasta.

— Coś uczyniła wczoraj?

---

<sup>110</sup>*zali* (daw.) — czy. [przypis edytorski]

— Com czyniła? I wczoraj, i przedwczoraj, i tydzień temu tęskniłam za wami, panie.

— Odpowiadaj na to, o co pytam.

— Nie rozumiem was. Kobierzec szylam na podarunek dla mego pana.

— Uczyniłaś mi podarunek nad wszystkie dary. Pomstę bożą cisnęłaś na moją głowę.

— Ja? Przenigdy! O zdrowie wasze co dzień się mo...

— Milcz, bezecna! Nie przydawaj<sup>111</sup> bluźnierstwa do pełnej miary swych niegodziwości. Co ci zawinił człek spokojny, uczciwy, żeś go zdeptała niczym robaka? Żeś zniweczyła najdroższą pamiątkę po praojcach? Żeś go rzuciła na mróz z żoną i dziećmi?

— A żebyście wiedzieli, panie, że mi wiele złego uczynił. Ufam łasce waszej, że go raczycie sprawiedliwie ukarać.

— Milcz!

— Nie będę milczała! Dobrym sercem przywołałam go do mego domu, starą poczerniałą chałupę kupić odeń chciałam za podwójną al-

---

<sup>111</sup>przydać (daw.) — dodać. [przypis edytorski]

bo i potrójną cenę. Zuchwalec, nie tylko nie ustąpił, jeszcze obelgi miotał na mnie!

Z płaczem upadła na kolana, tuląc się do nóg królewskich.

— O, panie mój najmiłościwszy, ujmijcie się w swym własnym sercu za mną, sierotą! Nienawidzą mnie ludzie tutejsi, knują tajemnie wszyscy razem, coby mnie łaski waszej zbawili. A wiecie dlaczego? Bo ich w oczy kole, że nikt wam nie jest wierniejszy ode mnie, że was nad świat cały miłuję!

Kazimierz podniósł się z ławy i silną ręką rozplótł zaciśnięte około swych kolan palce Rokiczany.

— Nie próbuj mnie jednać kłamliwymi słowami — rzekł tonem już zupełnie zimnym i spokojnym. — Miłowałem cię za gładkość i urodziwość twoją. Miłowałem cię za słodkość oczu twoich, z których, zdało mi się, dobroć serca poglądała. Miłowałem cię za tkliwe piosenki, którymi smutek i znużenie kołysałaś. Ta dobra, słodka, miłująca i umiłowana umarła wczoraj.

Idź precz! Obmierzłaś<sup>112</sup> mi tak, że wstydno mi patrzeć na cię. Zabierz, co twoje, zabierz wszystko, co masz w klejnotach i złocie, wszystko, czym cię łaska moja obsypała, i precz uciekaj, choćby na kraj świata, żebym cię już prze-nigdy w życiu nie oglądał.

— Aaa... To taka sprawiedliwość króla Kazimierza, na cały świat sławna! — zakrzyczała Rokiczana, nie hamując już swej złości. — Lada chłopu wolno błotem obrzucać niewinną niewiastę, a gdy się broni i karci go w słusznym gniewie, to ją pan miłociwy kopie nogą jak psa! Naprzykrzyła się Rokiczana? W porę się przygodził<sup>113</sup> Zbroja ze swoją zbutwiałą chałupą!

Ale na darmo wrzeszczała i tupiała nogami. Król zeszedł powoli z pagórka i przywołał Kochana.

— Tobie zlecam i przykazuję — rzekł — aby wola moja była do wieczora wypełniona.

---

<sup>112</sup>*obmierznąć* — zacząć budzić obrzydzenie. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*przygodzić* (daw.) — przydarzyć. [przypis edytorski]

Podwód<sup>114</sup> i koni dać, ile sama zażąda. Służba niech pomaga przy ładowaniu. Odwieźć uprzejmie do granicy czeskiej, nie śpiesząc zbytnio, coby się niewiasta nie utrudziła. Zasię i o tym pomnij, co najważniejsze, by nikt i nigdy nazwiska jej nie wymówił w mojej obecności.

## 6. CHRZCINY

Ludzie mówią często: myśl to błyskawica. Porównanie to daje słaby, marny obraz mocy, chyżości i blasku najwspanialszej z władz duszy człowieka. Myśl przesywa swym lotem wieki, obiega lądy i morza, widzi historię narodów, sięga najdalszych gwiazd, a korzy się, maleje i gaśnie dopiero w niepojętym, bezmiernym majestacie Boga, który jest jej początkiem.

„Stworzył go na obraz i podobieństwo swoje” napisane jest na pierwszych kartach Biblii. Ani rozum, ani wola, ani pamięć, żadna z potęg ducha nie czyni człowieka tak bliskim bóstwa, jak myśl.

---

<sup>114</sup>*podwoda* (daw.) — pojazd obowiązkowo dostarczany przez ludność organom administracji państwowej. [przypis edytorski]

Gdy Kazimierz zasiadł na ławie pod jesionem sprawować sąd nad Rokiczaną, przemienęła niedługa chwila, zanim obwiniona stanęła przed jego obliczem. W tej krótkiej chwili uczynił król sąd nad sobą samym. Ujrzał w myśli dziecinne lata swoje, potem swobodną, a często płochą<sup>115</sup> młodość. Ujrzał się wstępującym na tron jak słońce, gdy ponad ziemią wschodzi. Stał się panem i rządcą wielkiego królestwa. Oczy poddanych, utkwione w nim, wyrażały wiarę i ufność. Z uczciwą dumą wyznał przed myślą swoją, że tej ufności narodu uczynił załość w najpełniejszej mierze. Bez krwi rozlewu, bez nikczemnych ustępstw cnoty ku bezprawiu wzmagał potęgę państwa, rozszerzał jego granice, z wrogami zawierał korzystne układy, fundował miasta, budował kościoły, postawił pomnik wiecznotrwały panowaniu swemu: dał narodowi prawo pisane. Otaczała go cześć sąsiadów. Z daleka i z bliska ubiegano się o łaskawą przyjaźń jego. Za życia zwano go wielkim. Myśl królewska oddawała słuszne pochwa-

---

<sup>115</sup>płochy (daw.) — lekkomyślny. [przypis edytorski]



ły mądrym i sprawiedliwym rządom. Lecz ten sędzia bezstronny odwrócił kartę i czytał dalej. Czy życie króla, jako człowieka, było równie wielkie, wspaniałe, podziwu i czci godne? Czy ten ukochany ojciec poddanych dawał ludowi przykład niewzruszonej cnoty i czystych obyczajów? Czy miał prawo czynić się surowym sędzią występnych? Ileż razy przyrzekał sumieniu swemu poprawę szczerą, wytrwałą, odmianę życia? Ile razy korzył się przed sługą bożym u trybunału pokuty? Obiecywał gorącym sercem i gorącym sercem pragnął dotrzymać przysięgi, a jednak zawsze powracał do złych nałogów.

Czy on, taki mocny duchem, tak wielki mądrością, pan i władca milionów serc, nie zdoła zapanować nad własnym sercem? Nad sobą samym?

Oczy Kazimierza patrzyły w dal bez granic, a myśl czyniła sąd.

Gdy Rokiczana biegła ze dworu do ławy pod jesionem, wyrok zapadł. Wielki król potępił sam siebie. A potępiwszy, skazał na karę

bardzo ciężką. Wyrwać z serca niskie, niegodne uczucie, ogrodzić wolę, skłonną do upadku, wałem wysokim, a poza ten wał rzucić precz nieporządne kochanie.

On, który umiłował pokój, brzydził się wojną, któremu osiemnaście lat panowania przeminęło jak jeden dzień pogodny, dziś w kilku minutach stoczył bój niemal nad siły. A choć zeń wyszedł zwycięzcą, upadał ze znużenia.

Odeszła Rokiczana ze złością w sercu, z przekleństwem na ustach.

Gromada chłopów obiegła ciasnym kołem króla. Jedni rzucali się na kolana i wzywali błogostawieństwa boskiego, inni całowali kraj szaty miłościwego pana, kobiety w głos płakały. Zbroja klęczał najbliżej.

Kazimierz położył rękę na jego głowie i rzekł:  
— Domu po praojcach niemocen jestem wskrzесиć, ale ci pobuduję dworek, izby w nim prawnuki twoje nas obu wspominały.

Zbroja ścisnął z płaczem nogi miłościwego pana. Po chwili podniósł się z ziemi i zawołał:

— Zali<sup>116</sup> nawet równać wolno martwe drewno i starą strzechę z tym, coście mi dziś wyświadczyli, królu najdobrotliwszy?! Tożeście się nie panem sprawiedliwym, ale miłującym ojcem okazali! Jak ziemia szeroka i długa, po same krańce świata, nie masz drugiego jako wy!

— Nie masz drugiego! — powtórzyli wielkim głosem chłopci, wyciągając ręce ku niebu.

Trzaska w swym starym wyłatanym kozuchu nie śmiał przysuwać się blisko, ale złożywszy przy ustach ręce jak do modlitwy, patrzył w króla jak w tęczę.

A w duszy Kazimierza tajał smutek, gorycz ofiary malała i rozplywała się w uczuciu dumy i zadowolenia. Pokonał najpotężniejszego nieprzyjaciela — ujarzmił samego siebie.

Odetchnął głęboko.

— Hej! Kochan! Niech mi podadzą konia!

— Miłościwy pan wraca do Krakowa — szepnął Magiera na ucho staremu Wajdzie.

— Jużci, chyba długie miesiące miną, zanim zechce pojrzeć w stronę dworu.

---

<sup>116</sup>*zali* (daw.) — czy. [przypis edytorski]

— I służba już na koniach — dodał któryś z gromady.

— Co? Nie ku miastu zawracają?

— Gdzież król jedzie?

— Tą polną drogą?

— Aha. Widno<sup>117</sup> chce własnymi oczyma oglądać zwaliska.

Rozstąpili się w milczeniu i szli krok w krok za koniem królewskim, cicho, poważnie — pochód żałobny na miejsce spustoszenia.

Kazimierz zatrzymał konia przy stosie belek. Spojrzał na zaoraną ziemię, śmiertelna bladeść powtórnie zalała mu oblicze, ale tym razem wzruszenie prędko przeminęło. Przesunął ręką po czole i skręcił koniem w prawo.

Ludzie poglądali po sobie zdumieni.

— Dy<sup>118</sup> w tej stronie...

— Już tylko...

— Kto mieszka w tym domu? — zapytał król, stając przed wrotami.

Trzaska pokłonił się do ziemi.

---

<sup>117</sup>*widno* — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*dy* a. *dyć* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

— To moja chałupa, miłościwy panie.  
Król uśmiechnął się z żartobliwą złośliwością.

— Pięknie się sprawujecie, nie ma co mówić. Powiadano mi, że chrzciny dziś u was. Mieliście jechać przed południem z dzieciątkiem do Krakowa, a tu jeszcze ani wozu, ani koni, ani kumotrów. Nie wstyd wam trzymać pogańską grzesznicę w domu?

Wojciech wytrzeszczył oczy. Nie mógł pojąć, o co królowi chodzi i skąd wie o jego domowych sprawach, więc zakłopotany zgiął się we dwoje po raz drugi.

— Nie zaprzęgliście jeszcze? — nacierał król.

— Kumoter zawód nam zrobił — jękał chłop — czekamy na niego, ale skoro się nie stawił, a każecie zaprzęgać, miłościwy panie...

— Nie mam tu nic do rozkazywania. Każdy gospodarzem we własnej chałupie. Ino nie zwalajcie winy na kumotra, bo to człek rzetelny w słowie, znam go dobrze. Lada chwila nadbiegnie.

— Ano, to... Hej, Staszek, podjeżdżaj!

Chłopak skoczył do stajni, rozległ się trzask z bicia i ogromne saniska Zbroi, zaprzęzione w trójkę doskonale dobranych kasztanków, zajechały z brzękiem dzwonków przed same drzwi.

— Orsula, chodźcie z dzieckiem, nie marudź!

— Ady jestem! Gotowam od świętej pamięci! Pomóżcie mi wsiąść. Potrzymajcie, Wojciechu, dziewczuszkę, niech się szeroko usadowię, coby i odrobinie dobrze było.

— A my naprzeciw — rzekł Trzaska. — Siadajcie, Pawle, wedle mnie.

— Hola, hola, gospodyni! — zawołał król wesoło. — Nie rozpościerajcie się na całym siedzisku! Ja przecie nie ułomek, gdzież się podzieję?

— Jezus Maria! Miłościwy pan raczyłby na chłopskich saniach?

— Święte moje prawo. Po chrześnicy kumoter najważniejsza osoba!

— Gwiazdo zaranna! Święci janieli, ratujcie! — krzyknął Trzaska, chwytając się za głowę.

Tymczasem król zeskokczył z konia, oddał go któremuś ze służby i nim się opamiętali, już siedział przy Zbroinie.

— A co? Nie mówiłem, że kumoter przyjdzie w samą porę? Pal z bata, chłopcze! Chrzcinny jadą, a król kumem!

Skoczyły konie z kopyta, brzękadła u chomąt zadzwoniły na larum<sup>119</sup>, sanie pomknęły leciutko po nowym śniegu, a Staszek strzelał z bicza raz za razem.

— O, Jezu Nazareński! Gdzie ja oczy podzieję, nieszczęśliwy! — jęczał w duchu Trzaska skurczony na słomie, chowając głowę za plecami Zbroi.

— Pięć dni temu powiadaliście, kumotrze, iż mnie tak srodze miłujecie, a dziś ani chcecie spojrzeć na mnie — rzekł król, udając obrażonego.

---

<sup>119</sup>*larum* (daw.) — alarm. [przypis edytorski]

— O, panie najłaskawszy... najlepszy... wiecie wy dobrze, czego się wstydam. Toli <sup>120</sup>wygadywałem zuchwalstwa okrutne. Zasłużyłem na ciężką karę!

— Człowiek wziął do serca waszą mowę. Król nic nie słyszał i nic nie pamięta. A teraz weselmy się społem, coby znać było, że nie na pogrzeb, ino do chrztu jedziemy! Pawłowa, nie umiecie tam jakiej śpiewki ładnej?

— Gdzieżbym ja śmiała...

— Proszę was pięknie.

— Orsula, nie wzdragaj się, kiedy miłościwy pan rozkazuje. Dy się drzesz przy robocie po całych dniach.

— W gardle mię ściska...

— Za waszą łaską, miłościwy panie, odważę się pochwalić moją babę. Taki ci ma zmysł w głowie do śpiewek, że na zawołanie będzie sypała coraz coś nowego jak z rękawa.

— No, wójtowa. Jakoż to ma być? — szepnął Wojciech. — Sam król was prosi, a wy nie i nie.

---

<sup>120</sup>*toli* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]



— Dobrze, zaśpiewam, ino cobyście mi nie przerywali.

— Nigdy w świecie.

— No, pamiętajcie.

Przymknęła oczy w skupieniu, namyśliła się chwilę, wreszcie zapiszczała cieniutkim dyszkantem:

Płynie gąska, płynie po głębokiej wodzie,  
Trzaski ze Zbrojami w odwiecznej niezgodzie.

— Orsula, co cię podleciało? — syknął mąż.  
Strzepnęła ku niemu ręką i śpiewała dalej:

Kwitnie w życie, kwitnie bławatek niebieski,  
Zawarli dziś przyjaźń do grobowej deski.  
Jedzie wóz na przewóz, malowane kółka,  
Zbroje mają syna, a u Trzasków córka.

— Rany boskie, Pawłowa! — zajęczał Wojciech.

Uderzyła go palcami po ustach i kończyła:

Zimą pada śnieg, róże kwitną latem,  
Kiedyście kumoter, bądźcie, królu, swa-  
tem!

— Staszek! — wrzasnął Zbroja. — Opeę-  
tało cię?! Trzymaj konie, bo poniosą! Słyszysz?!  
Konie trzymaj! Do rowu królewską osobę wy-  
walisz!... A wszystko przez ciebie, gębo niepo-  
miarkowana! — z tłumioną złością rzucił w sa-  
mo ucho żonie.

Pawłowa schyliła się twarzą do spowitego  
pod kożuchem dzieciątka, niby to bardzo skru-  
szona, a w duszy rada<sup>121</sup>, że jej się tak wyśmie-  
nicie udało.

A król śmiał się, śmiał, aż mu zęby spod  
wąsów łyskały.

— Czegóż swarzycie na niewinną niewia-  
stę? Zaśpiewała składnie i dorzecznie, o cóż wam  
chodzi?

---

<sup>121</sup>*rad* (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

— W tym sęk właśnie, miłościwy panie, że śpiewka była składna, a całe<sup>122</sup> niedorzeczna.

— Przez Szewską furtkę jechać? — spytał Staszek, wstrzymując konie.

— Zawróć ku Floriańskiej — rozporządził król.

Ładny krakowski zaprząg, donośne dzwonki, sanie wymoszczone słomą wysoko i orszak służby w barwie królewskiej o kilka kroków z tyłu, zwracały uwagę przechodniów. A kto rzucił okiem na jadących, od razu poznawał króla i, rozwarłszy usta z podziwu, biegł co sił w tym samym kierunku dowiedzieć się, co dalej będzie.

Stanęli przed kościołem Panny Marii. Garstka ciekawych urastała w tłum.

Zbroja wyskoczył pierwszy i biegł na prawą stronę wozu pomóc królowi przy wysiadaniu, ale Kazimierz zesunął się zręcznie na ziemię i otrzepywał źdźbła z odzieży. Tedy obaj chłopcy zajęli się Zbroiną, która zapadła głąbo-

---

<sup>122</sup>*całe* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

ko i ani rusz nie mogła się z dzieckiem wygramolić.

W drzwiach kruchty stało dwóch kościelnych. Jeden, ujrawszy dojeżdżające sanie, poskoczył przez kościół do zakrystii. Drugi pokłonił się do ziemi i przymknięte podwoje roztworzył szeroko.

— Ksiądz wikary dziwuje się pewno, co nas tak długo nie widać — rzekł król. — Zawiadomiłem go, że przyjedziemy późnym rankiem, a tu już, widzę, na południe przedzwonili.

— Jego przewielebność sam ksiądz proboszcz przyszedł co tylko z prałatówki, jest w zakrystii, a nas tu na czatach postawił, coby mógł jak najrychlej wyjść z godną asystą naprzeciw miłościwego pana.

— Biegaj mi w te pędy i zawiadom księdza proboszcza, jako dziś całe sobie nie życzę powitania z baldachimem, świecami i wielebnym duchowieństwem. Wyraźnie powiedz: „król prosi, aby tego dziś nie było”.

Kościelny pobiegł z rozkazem, a po chwili z głębi kościoła wynurzyła się przygarbiona postać proboszcza mariackiego, księdza Jana Gębarta, staruszka osiemdziesięcioletniego, w kwiecistej kapie.

— *Laudetur Jesus Christus.*<sup>123</sup> Pokorne służby moje składam u stóp waszej królewskiej miłości.

— *In saecula saeculorum.*<sup>124</sup> Wdzięczy jestem niewymownie za uprzejmość przewielebności waszej — odpowiedział Kazimierz, całując księdza w ramię.

— Ani wie, dziecinka, co za splendor niezasłużony ją spotyka — zdumiewał się staruszek. — Królewska chrześnica! Wyście za kumę, niewiasto? — dodał zwracając się do Zbroiny.

— Nie, ja ino względem opieki, proszę przewielebności. Otulałam dziecko przez drogę, co by się nie zaziębiło.

— A gdzież chrzestna matka?

---

<sup>123</sup>*Laudetur Jesus Christus.* (łac.) — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*In saecula saeculorum.* (łac.) — na wieki wieków. [przypis edytorski]

— Posłałem po nią dworzanina. Idzie z nim właśnie.

— Co? Jacentowa? Babka kościelna?

— Z moją siostrą raczycie, miłościwy królu?

Trzaska nie wiedział, czy ma płakać, czy śmiać się z radości.

Jacentowa wróciła po sumie do swej izdebki w prałatówce i właśnie zasiadły z Basią do obiadu, gdy wszedł dworzanin królewski. Miał wyraźnie nakazane nie dawać jej żadnych wyjaśnień, tylko przyprowadzić czym prędzej.

— Gadajcież, panie, kto mnie woła, bo nie pójdę! — postawiła się babina rezolutnie.

— Taki, którego prawo rozkazywać, a nasze prawo słuchać.

— Czemu nie powiecie po prostu, że ksiądz proboszcz? Ady lecę w te pędy, ino ciepły ciepiec zawdzieję.

— Nie moglibyście przystroić się odświętnie?

— A cóż to, moja katana nie piękna? Cała, czysta. Co jej brakuje? Tedy idźmy, skoro mamy iść. Baśka, pilnuj, coby krupnik nie wystygł.

— Weźcie mnie z sobą, ciotusiu...

— Ciekawość po co. Zresztą, chodź. Może trza będzie co uprzętnąć, a mnie dziś jak na złość drze po kościach, to mi się wyręka przyda.

Wyszli na ulicę.

— Zbiegowisko jakieś. Co się tam dzieje?

— E, nic. Ludzie do chrztu z dzieckiem przyjechali.

— No, to wejdźmy do kościoła inszymi drzwiami. Po co się pchać?

— Kiedy właśnie tam was potrzebują.

— Mnie? O raju, ady tam Wojciech stoi przy saniach! Ten drugi to Zbroja. We drzwiach ksiądz proboszcz w kapie.

— No, prędzej, prędzej, nie ociągajcie się!

— A ówże co za jeden, ten wysoki, w aksamitowym kołpaku, plecami odwrócony?

— Ten ci właśnie kazał was wołać.

— Rada gęba, że pan śpi. A co młodemu chłopu po starej babie? Rany boskie święte, król miłościwy!

Chciała się cofnąć, skryć w tłumie. Za późno. Już ją dostrzeżono. Trzaska poskoczył, porwał ją za rękę i siłą przed króla pociągnął.

— Jak się macie, Jacentowa! — przywitał król babkę jakby najlepszą znajomą. — Czekamy na was. Córuchnę Trzasków przywieźliśmy do chrztu, wszystko gotowe, ino chrzestnej matki nam potrzeba. Nie odmówicie chyba?

— Nie godzi się, nie wolno odmówić, miłościwy panie. Nie chwalący się to już będzie czterdzieste czwarte.

— Właśnie moje lata! — roześmiał się Kazimierz. — Bierzcie dziewczuszkę na ręce i śpieszmy. Ksiądz proboszcz za długo już w kruchcie czeka.

— Zbroja mój kumoter?

— E, gorzej.

— Kiej nie widzę nikogo.

— A ja?



Wielkie szczęście, że Jacentowa nie odebrała była jeszcze dziecka z rąk Zbroiny, bo by je niechybnie puściła na ziemię z przerażenia.

Weszli wszyscy za księdzem do przedsionka, a po wstępnych modlitwach do kościoła, ku chrzcielnicy.

Staszek, ma się rozumieć, musiał zostać przy koniach, a Basia pośliznęła się na progu i tak się jej coś zrobiło w nogę, że ani kroku nie mogła postąpić. Zły to człowiek, co nie czuje litości w sercu, widząc ból bliźniego. Młody Zbroja miał serce strasznie miłosierne, jednym susem już był przy dziewczynie.

— Baśka, cudności moje, rozłączyli nas!

— Rozłączyli nas!

— Cnęło ci się beze mnie?

— Jużci.

— Rada byś wrócić na Łobzów?

— Oj, rada!

— Może się teraz jako odmieni na lepsze, bo po tym nieszczęściu ojcowie się pogodzili.

— Po jakim nieszczęściu?

— Nie ma czasu, nie ma czasu. Ochrzczą dziecko, wyjdą z kościoła, a my się nie nagadamy.

— Jużci.

— Wiesz, a gdybyśmy się tak oboje rzucili do nóg najpierw twemu tatusiowi, a potem mojemu.

— Rzućmy się oboje!

— Może ich Pan Jezus nakłoni ku nam.

— Może nakłoni.

— Żebyś ty wiedziała, jakie jam bicie dostał wczoraj, skroś ciebie<sup>125</sup>!

— O, ludzie na świecie!

— Ale to było jeszcze przed rozwaleniem chałupy.

— Rany. Jakiej chałupy?!

— Nie stójmy tu, ludzie na nas patrzą. Cofnęli się w głąb kruchty, gdzie nie było żywej duszy.

— A konie?

— Podsypalem im owsa, nie ruszą.

— O, mójeś ty biedny!...

---

<sup>125</sup>*skroś ciebie* — ze względu na ciebie. [przypis edytorski]

— O, mojaś ty biedna!...

Basia oparła czoło po prawej stronie nagrobka Zuzanny Tursowej, żony sławetnego majstra bednarskiego<sup>126</sup>, Staszek oparł czoło po lewej stronie nagrobka Zuzanny Tursowej i rozbeczeli się jak małe dzieci.

Od chrzcielnicy szedł król, parę kroków poza nim chłopci. Zatrzymał się na najwyższym schodzie cichutko i patrzył. Gdy jednak płacz nie ustawał, owszem, zanosilo się na dłuższą ulewę, odchrząknął srogim głosem.

Rozskoczyli się bardzo zawstydzeni.

— Czy to ci, coście o nich śpiewali, wójtowa? — zapytał Zbroiny.

— A jakże, miłościwy panie. Żal serce ścisła nad onymi dzieciarni.

— A zuchwalce jedne nieopamiętane! Tom ja was na to rozdzielił, cobyście się aż w kościele szukali?! — krzyknął Wojciech, teraz dopiero spostrzegając winowajców, których mu król swoją osobą zasłonił. — Wracaj mi zaraz do

---

<sup>126</sup>bednarz — rzemieślnik, wykonujący naczynia z drewnianych klepek. [przypis edytorski]

ciotki i siedź tam kamieniem, póki nie przyjdę!

— Poczekajcie no, kumie, chwileczkę. Kiedyś poznał najmłodszą córusię waszą, niechże się przyjrzę i starszej — rzekł król, biorąc Basię za rękę. — Cale foremna Trzaseczka, jakże ci to?

— Ba... Baśka...

— Przyznaj no się, Basiu, ale szczerze. Czegoście płakali tam, w kącie?

— Bo...

— Wstydać się nie trzeba, ino kłamać nie wolno.

— Bo... bo się... miłujemy! — I zakryła twarz łokciem.

— Niechże mi kto powie, o co tu łzy wylewać? Prawda, Pawłowa?

— Miłościwy panie, z tego nic być nie może, nic nie będzie, to już dawno zakończone, nie warto kłopotać królewskiej osoby — rzekł Trzaska tonem stanowczym, kłaniając się do ziemi.

— Pawłowa, powiadajcież, o co tu chodzi?

— Ano tedy pierwwej tak było, że mój nie chciał za nic dziewczuchy Trzasków za synowę. Potem Paweł spokorniał i sam o nią prosił dla Staszka, to zasię Wojciech ani o tym słuchać nie chce. Wiadomo każdemu, że co chłop, to kozioł<sup>127</sup>.

— Więc jakże będzie? — pytał król.

— Panie najdobrotliwszy — rzekł Trzaska pokornie — moja upartość nie z głupoty, ino z zastanowienia i z rozmysłu. Zbroja pan całą gębą i jedynaka syna ma, a my biedaki. W łaty się odziewamy, głodem przymieramy, niedoła nas uciska. Nie dam dziecka i nie dam, boby mógł przyjść taki dzień, Coby jej kto nędzę rodzicielów wypominał. Ja ojciec, nie odbierajcie mi, królu, ojcowskiego prawa.

— Niech mię Bóg broni, abym was chciał przymuszać. Ja ino proszę. A ku pamięci dzisiejszego świętego obrządku darowuję wam dziesięć morgów pola w Łobzowie i drzewo z moich lasów na nową chałupę.

---

<sup>127</sup>kozioł — tu przen.: uparciuch. [przypis edytorski]

— O, raj! Tolim niegodzien takiej łaski...  
Za co mnie, królu, darzycie, kiedy, się wam  
sprzeciwiam i od swego nie ustępuję?

— To ustąpcie ten jeden raz, ino ten jeden.  
Słyszeliście, co gadała Zbroina? Że każdy  
chłop, to kozioł. Królowi też się zdarza niekiedy,  
że chce postawić na swoim. Jak by się te-  
dy przytrafiło, żeby wasza Baśka szła za mąż,  
na co się cale nie zanosi, to w dzień pierwszej  
zapowiedzi dostanie trzy kopy czeskich groszy  
i dwie krowy na zaczątek gospodarstwa.

Zbroja szturchnął Trzaskę pod bok.

— No, Wojciechu, nie zacinajcie zębów po  
swojemu. Padnijmy na kolana proch ucałować  
przed stopami króla miłościwego i niechże bę-  
dzie pierwsza zapowiedź na przyszłą niedzielę.

— Zgadzą się, ino...

— Cóżście se nowego umyślili?

Trzaska przypadł do nóg królewskich.

— Jednego się domagam, panie najmiło-  
ściwszy: nie dawajcie ani groszy, ani krówek.  
Ja woli swojej za nijakie pieniądze, za nijakie  
podarunki nie przedam, ino wam, panu, kró-

lowi, ojcu, z miłującego, pokornego serca to swoje bogactwo za darmo podaruję.

— A ja przyjmuję bardzo wdzięcznie — odparł król.

— Baśka, Staszek! Tutaj, przed oblicznością królewską zezwalam na wasze zaślubiny. A że bez pół<sup>128</sup> niczego nie umiem czynić, tedy przypominam, że do adwentu ino trzy tygodnie. Kiej wam pilno, to się śpieszcie.

— Ale, ale, kumo — rzekł Kazimierz, jakby sobie coś przypominając — nie dziwujcie się ani se głowy nie kłopotajcie, gdy ujrzycie jutro rano przed swoim progiem dwie kury i woreczek z grosiwem. Nie może przyjąć siostrzenica, musi brać ciotka. Co raz darowane, tego się nie cofa.

— Rety! A gdzież ja bydłatka podzieję? Matko święta!...

— Wiem, że stajenki nie macie. Dajcie krówki Basi na chowanie, a czeskie zatrzymajcie dla siebie.

---

<sup>128</sup>bez pół (daw.) — w połowie. [przypis edytorski]

— Ee, miłościwy królu-kumotrze, to niech już idzie jedno za drugim. Na co mnie, starej, tyle grosza!

— Wola wasza. Ja tu nic nie rozsądzam. Róbcie, jak się wam zda.

— Takeście mnie szpetnie podeszli, miłościwy panie — odezwał się Trzaska, drapiąc się w głowę. — A ja was prosiłem...

— Strzeżcie się zuchwałej mowy. Musiałbym was ukarać i jeszcze jaką parę koni Jacentowej podarować.

Podanie ludowe wspomina krótko, że król Kazimierz Wielki trzymał raz do chrztu dziecko Trzaski, chłopca z Łobzowa. Drugie podanie opowiada, że za krzywdę wyrządzoną Zbroi, któremu kazała chatę rozwalić, wypędził król Rokiczanę precz z Polski.

Potomkowie owych Zbrojów i Trzasków żyją do dnia dzisiejszego licznie rozrodzeni w Łobzowie i Bronowicach, a jakiś prawnuk Pawła był w roku 1912 wójtem na Krowodrzy.



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:  
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/domanska-trzaska-i-zbroja>

Tekst opracowany na podstawie: Antonina Domańska, Trzaska i Zbroja; Hanusia Wierzyńkówna: dwie opowieści z czasów Kazimierza Wielkiego, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Kierepki. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

Okładka na podstawie: NASA Goddard Photo and Video@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0202-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,  
ANTONINA DOMAŃSKA *Trzaska i Zbroja* 121  
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę